ZORZA.

POEZYE

Felixa Chaszczyńskiego

nauczyciela szkół wydziałowych.

W Samborze,
NAKŁADEM AUTORA.
1879.

Wielce czcigodnemu

J. I. KRASZEWSKIEMU

z powodu Jubileuszu półwiekowej pracy tegoż na polu piśmiennictwa polskiego, pracę tę poświęca

Autor.

Wielce czcigodny Jubilacie!

Chluba to prawdziwa bohaterów blizny,
Słodko i chwalebnie umrzeć dla ojczyzny,
Lecz większa zasługa pracować dla braci.
Miecz broni od szkody, a praca bogaci.

Śmierć naszych zarówno nie jest bez korzyści,
Lecz nadzieje nasze dziś ten pewniej ziści,
Kto woli pracować, niż ostrzem nacierać.
Lepiej żyć dla Polski niżeli umierać.

Wielu nas poległo w tych czasach niedoli...
Dożyliśmy sławy, nie końca niewoli.
Twoja ręka Panie pracy się podjęła,
Ty żyjesz i Polska jeszcze niezginęła.

Toż pozwól czcigodny pełen zasług Panie,
Abym Ci wynurzył za pracę uznanie.
Żyj nam jak najdłużej i pracuj dla braci!
Kochamy Cię za to, a Pan Bóg zapłaci.

Ja także dla sławy narodu w ofierze
Chciałem oddać życie. Dziś — wyznaję szczerze —
Wolę dla zbawienia mojego narodu
Żyć i działać jako pracownik z zawodu.

Lecz nierównej z Tobą siły użyć mogę.
Tyś wielki, ja mały, nie ma podobizny,
Ledwiem dziatwie zdolen pokazywać drogę,
I budzić w niej miłość drogiej nam Ojczyzny.

Ale ten kto wspiera dobre ludzkie chęci,
Niech mi błogosławi na drodze żywota,
Abym twe przykłady zawsze miał w pamięci
Dopokąd otworem stoją śmierci wrota.

Sambor 1879.

Jaworzanie.

powieść z najnowszych dziejów Litwy na rzeczywistem zdarzeniu osnuta).*

I. Powstańcy.

Litwę, kraj ponury, gęsty las porasta.
Na zrębach od wieków siadły wsie i miasta,
A puszcze wokoło szerzą się bezdenne.
W nich królują smukłe i wysokopienne
Sosny jako maszty potężnie wyniosłe.
Nie łatwa tam droga, bo zawały liczne
Gęstwiną zielonej paproci porosłe
Nie dozwolą przejścia. W zawałach dziedziczne
Mieszkania niedzwiedzi, wężów legowisko.
Nie przejdziesz i zginiesz, gdy przystąpisz blisko.
Litwa, kraj posępny, błotna, dżdżysta ziemia.
Wylęgła w moczarach niebo mgła zaciemia,
A przecież wilgotna i leśna kraina
Drogą jest ojczyzną każdego Litwina,
I co obojętne jest cudzemu oku,
To dla niego pełne czaru i uroku,

---

*) Rzecz główna opowiedziana w „Czarnej księdze“ drukowanej w Krakowie 1869.

I chociaż ponury jak ten kraj litowy*),
Litwin jest szczęśliwy. Zdobycz dają łowy,
A pożytek barcie i suszone ryby,
W lasach wyrastają jagody i grzyby.
Litwin drzewo sprzeda, w lesie węgle pali,
Topi maź i wdzięczny dawcę darów chwali.
W głębi puszcz litewskich kryją się źwierzęta,
Których w innych krajach człowiek nie pamięta,
Bo dawno zginęło całe pokolenie.
Tu łosie i żubry znajdują schronienie.
Tu drapieżne koty, tu rysie i żbiki
Zaludniają puszczy straszne mateczniki,
Zatarasowanej strugi pobereże
Daje miejsce bobrom na wygodne leże**).

Przed niewielu laty zarost ten odwieczny
Dawał także ludziom przytułek bezpieczny.
Ludziom! któżby wierzył, że w dzisiejszych czasach
Ludzie jak zwierzęta kryli się po lasach?
Ludzie, nie złoczyńcy, ludzie dobrej woli?
Mówić to i słyszeć przykro, serce boli.
A przecież tak było! Giedyminów właści
Prawni spadkobiercy, a dziś łup napasci
Rzucając sadyby w lasy uciekali,
Jak ongi za dawnych nieszczęsnych stuleci
Przed najściem łupiezców tatarskiego Chana,
Tak dzisiaj przed strasznym uciskiem Moskali.
Był to rok pamiętny od Chrystusa Pana
Tysiączny ośmsetny sześćdziesiąty trzeci.

---

*) Litos w języku litewskim znaczy tyle co wilgoć, deszcz.
**) Obacz: „Północny Wschód Europy“ przez W. Pola·

Wśród lasów rozległych już późno wieczorem
Na widnej polanie stanęli taborem
Powstańcy pod wodzą dzielnego Litwina.
Historya nazwiska jego nie wspomina.
Już dogorywały ognie obozowe.
Ludzie spią pokotem. W całej okolicy
Szerzy się aromat pachniącej żywicy.
Cicho,... tylko szumią odstępy sosnowe,
Ale czaty nie spią ukryte w gęstwinie.
Żadne poruszenie uwagi nie minie.
Każdego szelestu śledzą bacznem uchem,
I broń trzymają do strzału gotową.
Tu sarna pomyka niesłyszalnym ruchem,
Tu sowa przeleci cicho ponad głową,
Tu wiewiórka, skacząc, gałązką poruszy.
Na wszystko otwarte i oczy i uszy.
W tem jeden ze straży obaczy zdaleka
Niewyraźną postać jakiegoś człowieka.
Postać się przybliża. O tak późnej porze
Co tu robi człowiek w tak odległym borze?
„Stój! kto idzie?“ strażnik do strzału złożony
Krzyknie. Obcy człowiek staje przerażony.
Po chwili przemówi: „Przyjaciel mój panie“.
W przybyłym wieśniaka poznać po sukmanie.
Stawiony przed wodzem, zdjął nakrycie z głowy,
I kornie pozdrowi pobożnemi słowy.
Czegoby tu szukał wódz pytanie zada.
Szczerze choć zmięszany wieśniak odpowiada:
„Panowie! Przypadek do mnie was prowadzi.
Bądźcie bez obawy, wieśniak was nie zdradzi.
Na targ do miasta jechałem o świcie.
Na drodze spotykam nagle tłum Moskali.
Nawracam niewcześnie, bo mnie już spostrzegli,

„Pastoj! pastoj! krzycząc rychło też dobiegli.
Konie, wóz, co miałem, wszystko mi zabrali,
Zbili, prawie cudem ocaliłem życie.
Naczelnik, gdy słyszał o moim towarze,
Do siebie natychmiast przyprowadzić każe.
Pytał mnie, co wiozłem, dokąd i dla kogo.
Powiedziałem prawdę, przepłaciłem drogo".
„Wrjosz!" *) naczelnik krzyknie, ścisnąwszy kułaki.
„Tyś w bandu ujeżżał!" **) skinie na kozaki,
I każe mnie obić. Nie pomogły wcale
Proźby, przedstawienia. Siekli mnie Moskale
Nahajką po plecach. Wreszcie oćwiczony
Byłem jako jeniec w obozie strzeżony,
Wieczorem atoli przy pomocy Bożej,
Wiedząc, że źle było, by nie było gorzej,
Nabrałem odwagi, i gdy straż kozacka
Mniej na oku miała, uciekłem z nienacka.
Błądząc, nie wiedziałem, dokąd oko niesie,
I na was panowie natrafiłem w lesie.
Przenikliwym wzrokiem wódz wieśniaka mierzy.
Widzi twarz spokojną, prawie słowom wierzy,
Ale niepochopny pytanie mu zada:
„Ażali to prawda, a nie podła zdrada?"
„Panie! Bóg mi świadek, żem człowiek poczciwy,
A oto jest dowód prawdy należyty".
Rzekł to, i obnaży grzbiet nahajką zbity
Nieszczęśliwy wieśniak. „Dowód to prawdziwy".
„Wierzę", rzekł dowódca. „Okrucieństwa ślady"
„Aż nadto widoczne. Nie masz tutaj zdrady".
Po chwili z biegłością jakkolwiek przyjaźnie

---

*) Łżesz!

**) Tyś jechał do powstańców!

O siłę Moskali i pyta o drogę.
Wieśniak odpowiada: „Słyszałem wyraźnie“‘
„Że jótro w Boberce staną na kwaterze“,
„Ile jest z pewnością powiedzieć nie mogę:“
„Kozacy, piechota, także dwa moździerze“.
Długo wódz w milczeniu siedział pogrążony.
„Jedna tylko szosa wiedzie w owe strony“,
Sam do siebie mówi, i widać na twarzy,
Że ciężkie w umyśle przedsięwzięcia waży.
Dobywa zegarka i wlepiwszy oczy
Patrzy na wskazówki przy wygasłym żarze.
Cicho, zegar szepce, północ na zegarze.
„Tak!“ — rzecze nareszcie, — „jasne jak na dłoni“.
„Czas jest, niespodzianie nic nas nie zaskoczy“.
Rzekłszy to był gotów, dał hasło do broni.

II. Bitwa.

Szarzało. Na niebie gęste chmury wiszą.
Wichry wierzchołkami szumiący kołyszą.
Gościniec przez lasy równiuteńki wiedzie,
Gościncem trzech ludzi uzbrojonych jedzie.
Po prawej i lewej na poczwórne pręty
Las wysokopienny do sznura wycięty.
Jeźdźcy baczą okiem, stępo jadą drogą,
Uważni słuchają. Nie ma tu nikogo...
Wślad za przednią strażą o kilkaset kroków
Oddział idzie pieszych. Tyralierzy z boków
Spieszą krajem lasu z bronią na ramieniu,
Bo niełatwe przejście gęstwinami krzaków,

Od tyłu za nimi w pewnem oddaleniu
W piki uzbrojone dwie sotnie kozaków
Podjeżdżają zwolna, a kółmi ciężkiemi
Spiżowe armaty toczą się za niemi.
Dalej postępują szosą cztery roty
Sławnej z celnych strzałów inflandzkiej piechoty.
Wszyscy jacyś smutni z wejrzeniem ponurem,
Zwykle spiewający monotonnym chórem.
Cicho, jakoś strasznie,... tylko ponad głową
Szumi wichr, nucący jakby pieśń grobową,
A gromady kruków, walczący z wichrami,
Tłumią się, bałwanią, kracząc nad głowami.
Czy żeru szukają zwietrzywszy padlinę?
Hej synu kozaczy, do uciechy skory!
Dlaczegoś sposępniał, wszak idziesz na Lachy?
Wczem do smutku widzisz złowróżbną przyczynę?
Nie bój się, bo we dnie nocne spią upiory,
Nie spią tylko w duszy zagnieżdżone strachy
Do dumki Kozacy, rozjaśnijcie czoła!
Rozgłośnego z piersi dobywajcie tonu
Do pieśni od stepu i Dniepru i Donu!
Milczą... tylko dudnią ciężkich armat koła,
A grube łańcuchy dzwonią jak kajdany,
Nad głowami wyją, jęczą huragany.
W tem nagle od przodu ozwą się z gęstwiny
Doniosłym odgłosem dymiąc karabiny,
I wzdłuż całej linii zagrzmią w tym momencie
Echem powtarzane, gęste, celne strzały,
I kule pogwizdem świsną koło ucha.
Kto ich nie posłyszał, oddał Bogu ducha.
Straszne zamięszanie. W zawiłym odmęcie
Burzą się rozbite moskiewskie oddziały.
Konie postrzelone od śmiertelnej trwogi

Rwą się, dęba stają, nie czują ostrogi.
Ranni jako drzewa, które tnie siekiera,
Chwieją się i walą, ziemia grób otwiera.
Hałas rozpaczliwy, krzyk i jęki wszędy.
Daremnie starszyna szykuje żołnierzy:
Gdy śmierć niespodziana zgubny postrach szerzy,
Tłumią się, a w zgiełku tonie głos komendy.
Oddziały kozaków cwałem pędzą drogą.
Zastęp kosynierów z nimi się potyka.
Wracają, gdy naprzód podążyć niemogą.
Piechota do reszty wystraszona zmyka.
W bezładzie do lasu rzucą się oddziały,
Tylko armaty z końmi pozostały.
Kozaków powstańcy dziesiątkują srodze.
Wielu z wracających poległo na drodze.
Straszne są obrazy na pobojowisku:
Wywiesiwszy język, ubite rumaki
Leżą szczerząc zęby. Jeszcze uzdy w pysku,
Jeszcze siodła na nich, strzemiona, czapraki,
Pistolety w olstrach. Ówdzie nogi zwleka
Niedobite zwierzę, z rany krew wycieka.
Z końmi pomięszane leżą ludzkie zwłoki,
A pod niemi płyną ciepłej krwi rynsztoki.
Ówdzie roztrzaskana głowa nieboszczyka
Leży w błotnym kale, własną krew połyka.
Ówdzie skaleczony pomocy przyzywa.
Ówdzie ciężko ranny, charcząc, dogorywa.
Ówdzie leży kasko, ówdzie broń przy trupie,
Ówdzie wszystko razem zwalone na kupie.
Słychać zapach siarki węgla i fosforu,
Atmosfera mgława z dymnego odoru,
Niebieskawe chmurki po gałęziach drzewa
Wiszą, rzekłbyś, oddech, który śmierć wyziewa,

A w górze wysoko drapieżne gromady
Okrążają miejsce pośmiertnej biesiady.

III. Bohatyr moskiewski.

Na końcu Sosnówki, niewielkiego sioła,
Stała karczma w polu, takzwana „Wesoła“.
Rów jest od gościnca, mostek nań rzucony.
Wysokie topole od północnej strony
Razem widokowi nadobnemu służą,
I chronią budynek przed wichrem i burzą.
Tu przejezdni stają w podróży popasem.
Niedaleko karczmy łąka jest pod lasem.
W karczmie dziś niezwykli goście zawitali.
Po słowach, mundurze poznać w nich moskali.
Na łące jest obóz. W kozły ustawione
Sztućce, bagnety na nich osadzane.
Żołdak pilnujący przestrzeń krokiem mierzy.
Niedaleko widać kupkami żołnierzy,
Siedzących wokoło płomieni ogniska.
Kipi woda w kotłach, ogień iskry ciska.
Bliżej karczmy konie ustawione w rzędzie,
A przy nich kozacy. Ciżba, hałas wszędzie.
Po karczmie zarówno snują się żołnierze.
W izbie gospodarza major na kwaterze.
Major, człowiek młody, przystojny wysoki
Po karczemnej izbie mierzonemi kroki
Chodzi, czasem staje, to znowu usiada.
Widać w zamyśleniu pogrążon nielada.
Jemuto Murawiew zwany wieszatelem
Powierzył, ufając, owe cztery roty

Sławnej z celnych strzałów inflandzkiej piechoty,
Kozaków, armaty i wysłał z rozkazem,
Aby, wytępiwszy powstańców, zarazem
Wspierających czynnie w kraju rewolucyą
Pokarał pałkami, tiurmą, kontrybucyą.
Otrzymawszy rozkaz, wyruszył tym celem
Major, niemiec z rodu, Durst von Höllengrube.
Poszukał powstańców, znalazł własną zgubę.
Onto w owym lesie przed kilkoma dniami
Miał tak niefortunne zajście z powstańcami.
Wprawdzie po rozprawie jakoś się udało
Rozpierzchłych żołnierzy zebrać chociaż mało,
Otrzymał posiłki, ale cóż to z tego?
Gdy minie sposobność, nie naprawić złego,
I nie powetować raz doznanej szkody,
Zwłaszcza, że powstańcze strzelcy, kosyniery
Przepadli, jak kamień rzucony do wody,
A z niemi przepadły ranga i ordery.
„Pięknie mnie powita gubernator Litwy,
Jeżeli mu doniosą o przegraniu bitwy!
Jaką dam odpowiedź, Jak zbędę kłopoty,
Jeźli mnie zapyta: „Durszcie! gdzie twe roty?
Wypchnie, sponiewiera i nazwie durakiem“.
Mruczał tak pan major do samego siebie,
I w stroskane czoło uderzył kułakiem.
Kto prawdziwie mądry, ma rozum w potrzebie.
Major niespokojny. Widać z gęstej miny,
Że nie wie, co zrobić. Mijają godziny.
Chodzi. W tem zapyta, gdy słyszy pukanie:
„Kto tam?“ Wszedł porucznik, odda powitanie,
A razem papiery. Durst za pismo chwyta,
Rozłamał pieczątkę, otworzył i czyta.
Chmurny był z początku, potem mniej się zżymał

Poznać, że przyjemne nowiny otrzymał.
„Charaszo!“ wykrzyknie po niedługiej chwili.
„Jeszcze miateżniki*) Dursta nie zgubili.
O! wypełnię rozkaz!“ Rzekł to, w myśli stanie
I ranga i kresty i zasług uznanie.
„Siądź Pan i odpocznij!“ Durst do oficera
Rzecze, klasnął w dłonie. Żołnierz drzwi otwiera.
Jako struna prosty, stanął, jak maszyna
Prawą rękę w łokciu w takt na tempo zgina,
Prowadzi do czoła, potem do golenia,
I poszwam**) trzymając czeka polecenia.
Major pisze rozkaz, daje dyżurnemu:
„Oddasz do podpisu z tych panów każdemu!“
Rzecze, pokazawszy adresy i pyta:
„Eto ponimajesz?“ — „Słuszaju“ odpowie
Dyżurny i pójdzie. — „Jutro nim zaświta,
Wyruszę z oddziałem i spełnię zadanie“.
Rzecze po odejściu z izby służbowego
Pan major do posła. W poufałej mowie
Pyta, co tam słychać, co zaszło nowego.
Cieszy się, że gościa widzi niespodzianie,
Prosi, aby mówił otwarcie i szczerze,
Co się dzieje w świecie, co w głównej kwaterze.
Rzucił to pytanie, chcąc wybadać posła.
Ażali już klęski fama nie rozniosła.
„Nic panie majorze“ — poseł na pytanie
Odpowie, — „po Litwie szerzy się powstanie“.
A nawet już w głównej wiadomo kwaterze,
Że lud coraz większy czynny udział bierze.
Przykład tego jasny na Jaworzan siole.

---

*) Powstańcy

**) Ręce przy szwach spodni trzymane.

Buntowniczą chętkę utraci do razu,
Gdy jutro wypełnię treść tego ukazu".
Rzekł major, depesze wskazując na stole
Leżące. „To lepsze niż kulki i sztyki*).
Ten przykład dopiero złamie buntowszczyki!
Zaprzestanie Litwa wyrabiać swawole!"
Mówi to, bo nierad wyruszałby w pole.
„Jakimże sposobem, powiedz, Jaworzanie
Ważą się popierać Polaków powstanie?
Rozkaz nie objaśnia popełnionej zbrodni,
A właściwy wyrok zapieczętowany,
Dopiero na miejscu ma być czytany
I zapewne winę jasno udowodni.
Gdy to rzekł samowar kipiący wniesiono.
Razem, gdy był wieczór świece zapalono.
Poseł na pytanie po niedługiej chwili
Daje w odpowiedzi: „W Jaworowskim borze
Przed kilkoma dniami żyda powiesili.
Kto go tam powiesił, nikt wiedzieć nie może,
Że ktoś z Jaworówki, nikt nie powątpiewa.
Na tej więc podstawie wyrok Murawiewa".
Zresztą w całej Litwie jawnie ogłoszono
Ukaz namiestniczy, że każda gromada
Za to co w granicach włości popełniono
Bezwzględnie za wszystko gardłem odpowiada.
Żyd ów był na ważne wysełany szpiegi.
„Znam ja tych hultajów!" major odpowiada, —
„Zuchwali są bardzo, upór ich nielada.
Jakie nadaremnie czyniono zabiegi!
Przecież nie przyjęli wiary prawosławia,
Jeszcze dziś na takie ważą się bezprawia!

---

*) Bagnety.

Łotry! gdy do szczętu zgubię tę hołotę,
Poczytam to sobie za honor i cnotę.
Panie oficerze! proszę do herbaty!“
Gdy to rzekł, zasiedli obydwa sałdaty,
Pili, rozprawiali, a wreszcie popici,
Posnęli w ubraniach, spali jak zabici.
Lampa niezgaszona świeciła, cygara
Rzucone dymiły, nocna siadła mara
U węzgłowia Dursta, rzucał się i zrywał,
W samowarze chrapiąc ogień dogorywał.

O drugiej z północy bębnią tarabany.
Zrywa się pan major na poły pijany,
Zmywa oczy wodą, budzi oficera,
Przypasuje szablę i okno otwiera.
Światła mkną w obozie w tę i ową stronę.
Tu i owdzie błyszczą ognie nie zgaszone.
Słychać z rżeniem koni pomięszane krzyki.
Starszyzna komendą klnie i sprawia szyki.
Księżyc na zachodzie z poza chmur przyświeca.
Tu piesi, tu konni stają szeregami,
Połyskując w świetle bladego księżyca
Konni ostrzem piki, piesi bagnetami.
Wreszcie Durst gotowy wierzchowca dosiądzie,
Przegląda szeregi. W tym nocnym przeglądzie
Tak ma dziką minę, że mniej do człowieka,
Ale podobniejszy z wszystkiem do upiora.
„Mołojcy! zdrawstwujte“ *) ryknie Durst chrapliwie,
„Rabiata! **) dziś właśnie zbliżyła się pora

---

*) Pozdrawiam was chłopcy!

**) Chwaty!

Pomścić w miateżnikach nasze krwawe znoje.
Żołnierze! w dwójnasób oddacie za swoje,
Jeszcze oprócz tego nagroda was czeka!
Pewnej wsi mieszkańcy przeciw nam zdradliwie,
Udając spokojnych, ze szkodą działali,
Łapiąc nam przyjaźnych po lasach wieszali.
Otóż za tę zbrodnię — tu na papier wskazał —
Gubernator Litwy spalić wieś rozkazał,
A mieszkańców wywieźć aż na koniec świata.
Pohulacie sobie. Sztupajcie rabiata!" *)
Rzekł to, dobył szabli, dał znak do pochodu.
Aby spełnić dzieło pospieszają roty:
Oddział kozaków, z nimi Durst od przodu,
Z tyłu za konnicą kolumny piechoty.
Jadą, rychło nikną osłonięci nocą,
A ładowne wozy za nimi się toczą.
Długo słychać wozów turkot i skrzypienie,
Wreszcie okolicę zaległo milczenie.

IV. Jaworówka.

Ciepły tchnie wiaterek jakkolwiek w jesieni.
Na dalekim wschodzie zorza się rumieni.
Ciemność na zachodzie. Tam gwiazdki migocą,
Ale coraz więcej jasności przybywa,
I gwiazdki na niebie nikną razem z nocą.
Ziemia w śnie głębokim jeszcze odpoczywa.
Jaśniej, coraz jaśniej, ciemności pierzchają.

*) Naprzód zuchy!

Chmurki barankowe, złotę rąbki mają.
Budzą się ptaszęta, a po wsiach koguty
Wywodzą śpiewania na przeciągłe nuty.
Ztąd bliski, daleki ztamtąd głos dobiega,
A ostatnie krańce widnej okolicy
Tajemnicza cisza wokoło zalega.
Jaśniej, coraz jaśniej, wreszcie promień słońca
Przebiegnie widnokrąg od końca do końca,
Nowy jasny dzionek zwiastuje ziemicy,
Nową dobę życia oznajmia stworzeniu,
Chwalącemu dawcę światła po zbudzeniu.

Widna rozpostarta szeroko równina.
Lasy na krawędzi, w pośrodku drożyna
Wije się jakoby długa biała wstęga,
Węższa, coraz węższa, dokąd oko sięga.
Patrz! tam przy drożynie rozpiął krzyż ramiona.
Za krzyżem po jednej i po drugiej stronie
Wioska Jaworówka w pozdłuż rozłożona.
Przed chatami legło równiuteńkie błonie.
Widać Jaworzanie do pracy ochoczy,
Bo raniutko wstają odpocząwszy w nocy.
Tutaj dym z komina słupem w górę strzela,
U wierzchołka szerszy, łamie się rozściela,
I tworzy obłoki na niebieskim stropie.
Tam z chaty wybiegło boso małe chłopię,
I jeszcze zaspane na przyzbie usiada.
Ktoś słychać głośno pozdrowił sąsiada.
Ówdzie z konewkami dziewczęta po wodę
Idą do żórawia. Tam wiejscy pasterze
Gonią na pastwisko liczną bydląt trzodę.
Starzy po obejściach zmawiają pacierze.

Spokój jakiś błogi na wieś się rozlewa,
Że idzie nieszczęście, nikt się nie spodziewa.
Tak niewinne ptaszę spiewem się weseli.
Wtem drapieżny sokół zpod obłoków strzeli,
I razem z żywotem kończy się spiewanie.
Może to i lepiej umrzeć niespodzianie...
Ptaszę nieświadomie życie zakończyło,
Do samego zgonu jeszcze się cieszyło.
Oto bliska chata. Na środku podwórza
Widać w kłąb zwiniętą postać domu stróża.
Zapewne bezsennie strawił nocną porę,
Przy świetle księżyca szczecząc na oborę.
Dom mieszkalny z małym ganeczkiem u przodu.
Na prawo prowadzi ścieżka do ogrodu,
W lewo do obory, na wprost przez dziedziniec
Do furtki, a z furtki na bity gościniec.
Wokoło obejście płotem obwiedzione.
Od gościńca widne sztachetki bielone,
Zielone u wierzchu. Skrzypnęła furteczka.
Na gościniec biegnie maleńka dzieweczka,
A za nią staruszek o kiju utyka.
Obrócił się, furtkę za sobą zamyka.
„Mińciu!“ rzekł staruszek. Dziewczę zaczekało,
Białą, drobną rączkę dziadziowi podało,
Poczem wolnym krokiem aż na koniec sioła
Idą na poranne modły do kościoła.
Przybyli nareszcie. Kościółek zamknięty.
Staruszek, myślami o Bogu przejęty,
Na stopniach kamiennych uklęka w pokorze,
Ręce w niebo wznosi i westchnie: „O Boże!“
Potem głowę zwiesi, ale widać z twarzy
I z kornej postawy, że skruszona dusza
Szepce ciche modły, niebiosa porusza.

Starzec klęczy, dziewczę złożyło rączęta,
Stojąc, patrzy w niebo jakby jaka święta,
Milczenia staruszka przerwać się nie waży.
Dlaczegoż tak późno z wiernymi pospołu
Kapłan nie przystąpił do Pańskiego stołu,
Dlaczego zamknięte kościelne podwoje?
„Panie!“ — rzekł staruszek — „święte ręce twoje
Niech pobłogosławią naród nieszczęśliwy!
Boże! stwórco świata, sędzio sprawiedliwy!
Spojrzyj na nas okiem Twego zmiłowania!
Wróg religii świętej modłów nam zabrania,
Kościół Twój zamknięty, kapłan wywieziony,
Aby nie strzegł duszy, w Sybir oddalony.
Boże! bądź miłościw, spraw, abyśmy byli
Silnymi w ucisku, strasznej życia chwili,
Aby nas minęła rozpaczliwa trwoga,
Aby stałość nasza pokonała wroga.
Boże! Panie mocny! w święte ręce Twoje
Oddaję nieszczęsne polskich matek syny,
Którzy rozpaczliwe a nierówne boje
Staczają z ciemięzcą tej biednej krainy.
Panie! nie opuszczaj nieszczęsnych z opieki
I bądź pochwalony teraz i na wieki!“
Umilkł starowina, klęczy i w ofierze
Drgającemi usty odmawia pacierze
Za siebie, za swoich, i za naród cały.
Nie słyszał, że za wsią krzyki się ozwały.
Pomięszane głosy dziewczę uchem chwyta,
Przerażona, blada dziadunia zapyta:
„Dziaduniu! czy słyszysz za wsią hałas, krzyki?
Dziadziu! to kozacy, to ich okrzyk dziki!“
Rzekłszy, do staruszka tuli się dziewczyna.
Podniósł się złamany w siłach starowina.

Słucha. Coraz głośniej wrą krzyki od pola.
Starowina westchnął, wzniósł oczy do góry
Z poddaniem się rzecze: „Niech będzie Twa wola!“
Jako przed ulewą gromadzą się chmury
Złowrogie, niekształtne i słychać z daleka
Uderzenia gromów i szum nawalnicy,
Jak za oczy chwyta połysk błyskawicy,
A bydło z pastwiska do domów ucieka, —
Jako postrach pada na lud okolicy, —
Tak wzburzzna droga kopytem konnicy
Kurzem się okryła. Jakoby języki
Ogniste w bałwanie połyskują piki.
Okrzyk się rozlega podobny do gromu.
Bydło rycząc cwałem ucieka do domu.
Przerażenie pada na mieszkańców sioła.
Nagle krzyk umilknie, nic nie słychać zgoła.
Zapewne w straszliwej a dzikiej pogoni
Wstrzymali się jeźdźcy. Cicho, złażą z koni.
Straszno. Tak przed burzą jest cisza grobowa.
Nieszczęsnym na uściech zamierają słowa.
Co będzie? Nie wiecie? Wysłannicy cara
To wróżba, że będzie spełniona ofiara.

V. Wykonanie wyroku.

Urrah! głos żołdactwa grzmiący się rozlega.
Do każdej zagrody po kilku dobiega.
Strzegą wyjścia gęsto rozstawione czaty,
A inni z okrzykiem wpadają do chaty,
Wyganiają z domów nie szczędząc nahajki.

Dzielnie się spisują dzieci Nalewajki*),
Potomkowie wolnych kozaków na siczy,
Dzisiàj prawa ręka azyatyckiej dziczy.
Przywłaszczywszy sobie bozwstydna a dzika‘
Horda ludzkie mienie prawem rozbójnika,
Razem uprowadza będlęta i konie,
I biednych mieszkańców wypędza na błonie,
Staruszków i dzieci bez przygotowania,
Jako ich zastała, nawet bez ubrania.
Mało co ze sobą biedacy zabrali.
Nie łatwo oszukać łupieżczych Moskali!

Smutnie wyglądają Jaworzan orszaki,
Smutnie, rzekłbyś widząc, że to pogrzeb jaki.
Tu chorzy stękając wloką się jak mogą.
Tu starce o kiju postępują drogą.
Tu dzieci płaczące drepcą obok matek.
Wszystkich bez wyjątku wyrzucono z chatek.
Od żartów kozackich kraśnieją dziewice.
Od trwogi niejedno pobielało lice.
Od żalu niejedno łzą nabiegło oko,
A z tyłu za nimi wierne psy sią wloką.

Na otwartem błoniu cały lud spędzony.
Żołnierze zamknęli tłumy z każdej strony.
Słychać płacz, a z płaczem mięszają się krzyki.
W tem major nadjedzie, krzyknie: „Miateżniki!
Przebrały już miarkę wasze niecne czyny.
Zapłacicie za to padlcy! sukinsyny!
Przed kilkoma dniami w lesie znaleziony

*) Dowódzca Kozaków, o którym spiewa Zaleski.

Wierny obywatel w lesie powieszony,
Toż za taką zbrodnię kara was spotyka.
Oto jest dosłowny rozkaz namiestnika!“
Rzekłszy to, z zanadrza papiery dobywa.
Milczących szyderczy Dursta wzrok przeszywa,
A potem się słowa obiją o uszy:
„Wygnać ludzi z sioła co do jednej duszy.
Potem wybrać siedmiu z dorosłych młodzianów,
I powiesić w oczach wszystkich Jaworzanów.
Potem wieś ograbić, potem ograbiona
Ma być w zupełności pożarem zniszczona.
Nakoniec żyjących wszystkich bez wyjątku
Wysłać po etapnym na Sybir porządku!*)
Tę karę gromada Jaworzan odniesie
Za to, że w ich własnym powieszono lesie
Zacnego człowieka i za bunty wraże.
Wyrok ten niezmienny w soj czas**) spełnić każę!“
Gdy to Durst przeczytał, straszne było łkanie
Matek, które dzieci tuliły do łona.
Pobledli na twarzach, nie wiedząc młodzianie,
Który z nich na stryczku jeszcze dzisiaj skona.
I tylko staruszków nie objęła trwoga.
„Nie płaczcie!“ — mówili — „Dziej się wola Boga!
Ufajcie kobiety, młodzieńce i męże!
Pomsta Wszechmocnego morderców dosięże.
Wyrok Jego sądu może niedaleki,
A was nieszczęśliwych nie puści z opieki!“
Słyszał to pan major, ale w duszy hardy,
Odpowie uśmiechem złośliwej pogardy,
Potem na kozaków skinie, i rozkaże

*) Rodzaj szupaśnictwa.

**) Natychmiast.

Wszystkich wziąć młodzieńców pod osobne straże.
Nieszczęśliwe matki jako liście drżały.
Kto padnie ofiarą długo nie wiedziały,
Albowiem pan major długo się napawał
Widokiem każdego, jakby badał właśnie,
W którem młodem sercu więcej życia zgaśnie,
Czem piekielne męki ofiarom zadawał.
Wreszcie siedmiu wskazał na śmiarć przyznaczonych.
Ręce im sznurami na tyle związano.
Kilka niewiast padło na ziemię zemdlonych.
„A tiepier mołojcy*), jako nakazano,
Sożecz eto gniezdo!“ **) krzyknie rozwścieczony
Durst von Höllengrube. Wnet na wszystkie strony
Wojsko się rozsypie, i z oczekiwania
Umilkną na chwilę płacz i narzekania.
Po niedługiej chwili w różnych miejscach sioła
Dymy się podniosły czarne jako smoła.
Kłębiąc się ku górze. U dołu płomyki
Wystrzelają w górę krwawemi języki.
Dym rzadnieje wreszcie, ale w okamgnieniu
Gontem kryte dachy stanęły w płomieniu.
Pożar się rozszerza, obejmuje sioło.
Gore. Wichr się zrywa i pożar podnieca.
Słońce, które dzisiaj zeszło tak wesoło,
Teraz zmiennem światłem ponuro przyświeca,
Bo dymy zakryły jasne nieboskłonie,
A na ziemi piekło strasznym ogniem zionie.
Rozpasany pożar coraz wścieklej bucha.
W całej okolicy szerzy się zaducha,
I deszczem spadają jeszcze rozżarzone

---

*) A teraz chłopcy.

**) Spalić to gniazdo.

Węgle i popioły, a jako zjawiska
Mkną po dymnej górze głownie zapalone.
Ogień syczy, kipi, iskrzy się i pryska.
Walą się z łoskotem dachy przepalone.
Hałas jak na morzu kiedy jest wzburzone.

Stali w osłupieniu na rozległem błoniu
Pilnujący ludzi więzionych żołnierze.
Patrzał Durst okrutny siedzący na koniu
Z uwagą jak diabeł, który piekieł strzeże,
A zamknięta strażą ludność nieszczęśliwa
Jęczała okropnie. Serce żal rozrywa.
Jedni wznoszą ręce, modląc się do Boga,
A drudzy w rozpaczy przeklinają wroga.
Niewiastom i dzieciom płyną łzy po licach,
Najbardziej cierpiącym braknie łez w źrenicach...
Wierne psy domowe tuląc się do nogi
Wyły obrócone pyskiem do pożogi.
Słyszał Durst to wszystko, lecz wcale nie zważał,
Puszczał mimo uszu, że się lud odgrażał,
Jeno przygryzł wargi i mruczał pod nosem.
Wreszcie podpalacze wrócili z donosem,
Że wedle ukazu podpalono sioło.
„Charaszo rabiata!“ *) rzecze Durst wesoło,
Potem zwrócil konia, groźną ręką wskaże
Tam, gdzie uwięzieni stali gospodarze.
„Podajcie im stryczki!“ Kozacy skoczyli,
I podają sznury ojcom nieszczęśliwym,
Aby swoich własnych synów powiesili.
Ojce zmierzą kata wzrokiem pogardliwym.
Trzymając na piersiach ręce w krzyż złożone,

*) Dzielnie zuchy.

Patrzyli milczący wcale w inną stronę.
Wtenczas Durst poskoczy: „Ha! wy buntowszczyki!
Razwie żełajetie, cztob was wziat' na sztyki?“ *)
Rzekłszy to, nahajką grozi zapieniony,
Jako pies wygląda wścieklizną rażony.
W on czas wystąpiwszy, starzec głos zabierze.
Był to ów staruszek, który dnia onego
Poranne ze skruchą odmawiał pacierze
Z dziewczęciem u stopni przybytku pańskiego.
Stanąwszy, te myśli z powagą wysłowi:
„Człowiecze! na wszystko jesteśmy gotowi,
Na wszystko, cokolwiek jeszcze się wydarzy.
Na gorszych nie możesz obrócić nędzarzy.
Wszystko już zabrałeś, i gdyby ochota
Wzięła cię, łaknąłbyś naszego żywota,
Możesz to uczynić, daremne atoli
Żądanie, abyśmy w zbrodniczej swywoli
Wzięli z tobą udział, a jako wspólnicy
Jeszcze własnych synów wieszali wyrodni
Na moskiewskim haku podłej szubienicy.
Sami dokonacie tej straszliwej zbrodni.
Zsiniało oblicze moskiewskiego kata:
„Padłaja skatina! Wziat' jewo rabiata!“ **)
Ryknie Durst i skinie na kilku żołnierzy.
Poskoczą. Odarto staruszka z odzieży,
I bito pletniami. Ozwały się jęki
Ciche, coraz cichsze... cicho... koniec męki,
Lecz kozacy biją. „Budiet!“ Durst rozkaże.
W tem z pośrodka tłumu ozwie się niewieści
Głos, i dziewczę młode z okrzykiem boleści

---

*) Czy chcecie, aby was wziąć na bagnety?

**) Podłe zwierzę! Wziąć go zuchy!

Biegnie jak szalone, roztrąciwszy straże.
„Dziadziu! dziadziu! dziadziu!“ krzyczy nieszczęśliwa.
Zobaczywszy starca uśmiercone ciało,
Upadła na trupa, lice pobielało.
Dziadzio już nie żywy, i ona nieżywa.
Weźcie to! rzekł major. Poskoczą żołnierze.
Ten trupa za nogi, ów za ręce bierze.
Niosą. Gdy dziewczyny major blade lica,
Ujrzał, rzekł z cynizmem: Szkoda! „Krasawica!“

Z obu stron gościnca do wsi wiodącego
Rzędem stały drzewa. Durst do miejsca tego
Każe zaprowadzić wybranyh skazańców
Pod silnym konwojem, razem i mieszkańców.
Siedmiu młodych ludzi śmierci się spodziewa,
I tyleż kozaków drapie się na drzewa.
Wlazłszy, na gałęzi każdy w okrak siada,
Oczekuje hasła od egzekutora.
Wtenczasto przez usty najstarszych gromada
Udaje się z prożbą do pana majora.
Starce przemawiają, drżąc ze łzami w oku:
Panie! gdy nie możesz odmienić wyroku,
Pozwól, aby dzieci, nim spełnią męczeństwo,
W ostatniej smutnego żywota godzinie
Wzięli rozbrat z nami i błogosławieństwo.
Lżej im konać przyjdzie. Durst nie odpowiada,
Myśli, wreszcie fuknie: „Etawo nie nada! *)
Paszoł won!“ †**) i ręką na oprawców skinie.
Kozacy opuścili nawiązane sznury,

---

*) Tego nie potrzeba!

**) Idź precz!

Inni nieszczęśliwych podnieśli do góry,
Odskoczyli potem. W tejże samej chwili
Żywi z nagłą śmiercią daremnie walczyli.
Ciężka to jest walka zanim człowiek skona,
I śmierć do wieczności otworzy mu wrota.
Okropny był widok. Kurczą się ramiona,
Nogi wyprężają, wydłużają pęta.
Posiniały twarze, chrapie pierś wydęta.
Oczy powieszonych na wierzch wysadzone.
Walcząc z nagłą śmiercią potęgą żywota
Kręcą się powoli w tę i ową stronę.
Ażali możliwe, aby tej katuszy
Człowiek się przyglądał ze spokojem w duszy?
A przecież tak było. Durst spokojnem okiem
Patrzał, rozkoszował, poił się widokiem
Nieszczęśliwych ofiar i okrutnej męki.
W chwili spełnianego krwawego męczeństwa
Płacze było słychać, narzekania, jęki,
I straszliwe usta miotały przekleństwa,
Ale nadaremnie pióroby pisało,
Nie opisać piórem, co się wtenczas działo.
Wreszcie jęk i wrzawa uciszy się nieco.
Żywe szubieniec już się nie kołyszą,
Bo pozbyte życia trupy na nich wiszą.
Z dalekiej północy czarne kruki lecą.
W tem doleci uszu Dursta głos daleki:
„Człowiecze! tyranie! przeklętyś na wieki!“
„Kto krzyczał?“ zapyta, i na wszystkie strony
Ogląda się major zaniepokojony.
Nikt nie słyszał głosu. Tak mu się zdawało.
Pamięć to, nie ucho pewnie głos słyszało.
Splunął i oprawcom pędzić ludzi każe
Na miejsce, gdzie przedtem złożono bagaże.

„Ubierajtie wieszczi!“ ponuro zagada.
Niewiele tam było, ledwie co z odzieży
Bo reszta podpadła żołdactwa grabieży.
„Sztupaj!“ krzyczą zbiry. Cóż zrobić oporem?
Złamana boleścią ruszyła gromada.
Ostatniem spojrzeniem wioskę pożegnała.
Dymiąc Jaworówka już dogorywała.
Psy, zwiesiwszy głowy, idą za taborem,
I krwawe na niebie słońce zachodziło,
A ludzie mówili, że na wiatr wróżyło.

VI. Zakończenie.

Po spełnionej zbrodni rok upłynął cały.
Na miejscu, gdzie sioło do szczętu spalono,
Zkąd biednych mieszkańców w Sybir uwieziono,
Dziwne się w rocznicę, straszne rzeczy działy.
Noc zaległa ziemię, przecież okolica
Widna, bo jaśnieje blada twarz księżyca,
Widne też zniszczenia ślady niespożyte:
Czarne, okopcone, cuchnące zwalisko,
Niedogarki słupów skośnie w ziemię wbite,
A w pośrodku każdej mieszkania ruiny
Wysterczają spodem bielone kominy.
Rzekłbyś, że wczorajsze widzisz zgorzelisko.
O północy siadły u chatek zniszczonych
Duchy pomnej myśli w Sybir wywiezionych,
Ojcowie i matki w pośrodku rodziny,
Nawet psy domowe przyszły w odwiedziny.
Tu ojce, na ręku opierając głowy,
Utkwili przed sobą w ziemi wzrok surowy.
Tu matki, na łono opuściwszy ręce,

Siedzą zasmucone. Obok rodzicielki
Stojąc poglądają postacie dziecięce.
Łachmanki na biednych, w oczach łez kropelki.
Psy wychudłe strasznie, siadłszy u nóg pana,
Sparły, patrząc w oczy, mordę o kolana.
U stopni kościółka klęczą męczennicy:
Starzec białowłosy przy boku dziewicy,
I siedmiu młodzieńców. Klęczący milczeli.
Wszyscy nieruchomi, rzekłbyś skamienieli.
Cisza. W tem na błoniu ozwie się straszliwy
Ryk. Tam ujrzysz nowe a okropne dziwy:
Wpośrodku krwawego, zgniłego jeziora
Przewraca się rycząc bydlęca potwora,
I wali ogonem, iskry z oczu ciska.
Płomienie buchają z otwartego pyska.
Chciałoby się pozbyć cuchnącej kąpieli
Zwierzę, a nie może dobyć się z topieli.
Rzuca się i tonie. Już się zanurzyło
W krwi i łez otchłani, a tam dnia nie było.
Cisza, tylko w bagnie na powierzchni błota
Topiel się bawałni, pieni i bełkota
Cicho... Wtem w zarośli ptaszę zaświegoce.
Na dalekim wschodzie jutrzenka migoce.
Widniej, coraz widniej, świta brzask zarania,
Widok na ponury nocny świat odsłania.
Znikają obrazy nocy tajemnicze,
Jasne na horyzont wystąpi oblicze
Słońca i na ziemi wszystko się zmieniło.
Ni duchów, ni zgliszczy, topieli nie było.
W miejscu gdzie Jaworzan stały pomieszkania
Właśnie wyjechały pługi do orania.

W Warszawie. *)

Naród krzyże i sztandary
Niósł w uroczystym pochodzie,
Modlił się i śpiewał chórem,
Bo wdzięczna pamięć w narodzie
Nie wygasła na ofiary,
A naprzeciw stają murem
Szeregi płatnych żołdaków,
Szydzą z krzyżów, świętych znaków,
Przez usty posła zabrania,
Grożąc, biały car śpiewania.
Ale cóż moskiewskie cary?
Mogą wymyślać męczarnie,
Mogą zadać śmierć bezkarnie,
Przecież nie odbiorą wiary.
Strzelajcie! Naród gotowy
Umrzeć w przykładnej pokorze!
Z umarłych spadną okowy,
Żyjącym Bóg dopomoże.
Wystrzelili, a po huku
Świeża płynie krew po bruku,
I po strzałach silniej głosy
Biją pieśnią pod niebiosy!

---

*) Z powodu wypadków w roku 1861 i 1862.

I wybiegli i wydarli
Z rąk bezbronnych swe ofiary,
Co tu z ich ręki pomarli,
Zbezcześcili krzyż, sztandary.
A proszący ich nie winią.
„Przebacz! nie wiedzą co czynią!
Przez niewinnej krwi przelanie
Odpuść winowajcom Panie!“

Ojczenasz.

Boże! modlę się do Ciebie.
Ojcze! który jesteś w niebie,
Niech Cię wielbią usta moje!
Święć się zawsze imię Twoje,
Przyjdź królestwo Twoje Panie!
Niech się Twoja wola stanie
Jako w niebie, tak na ziemi!
Zmiłuj się nad dziećmi twemi,
Nie opuszczaj i naszego
Daj nam chleba powszedniego,
A jakośmy tej godziny
Winowajcom odpuścili,
Odpuść też i nasze winy,
Byśmy sobie zasłużyli
Na wieczne duszy zbawienie.
Boże! Panie świata tego!
Nie wodź nas na pokuszenie,
Ale zbaw nas ode złego. Amen.

Do matki Polski.

O ty nieszczęśliwa, co dymem pożarów
Dyszesz! niewolnico piotrogrodzkich carów!
Ty! której żywotem wieczne jest cierpienie,
Ty! która gasisz własną krwią pragnienie!
Kto cię zaprowadzi do źródła żywego,
Abyś wypoczęła, napiła się z niego,
I ukołysana szmerem cichej wody
Usnęła na łonie zielonej przyrody
Błogim snem anioła, i po trudach, znoju
Pośniła choć trochę o szczęściu spokoju?
Polsko nieszczęśliwa! A gdzie twoje dziatki?
Niejedna sierota głosu własnej matki,
Odkąd na świat przyszła, dotąd nie słyszała, —
Bo ją inna matka na łonie chowała, —
Przecież wzdycha do cię. Hej! gdzie te krainy,
Kędy rozprószone matko twoje syny
Tułają się bez chleba, świat pogardza niemi,
W nędzy opuszczeniu nie na własnej ziemi
Giną. Daj im chleba, — patrz! o chleb wołają.
Zwołaj ich do siebie, niech nie urągają
Ludzie z twojej dziatwy, niech ginie przy tobie,
Za ciebie, za matkę, chwała na jej grobie
Niech będzie pomnikiem, a sławą żywota
Żyjących, a szatą jej niech będzie cnota
I wiara pradziadów, iżby godni byli
Ciebie męczennico, ofiarę spełnili.

Marzenia.

Posępno i zimno. Stojąc nad potokiem
Rozpostarte błonie przebiegałem okiem.
Śnieg zasypał ziemię, woda zamarznięta,
Wewnątrz moja dusza także lodem ścięta.

Kiedy się majowa przyroda zieleni,
I strumyk mruczący w zaroślu szepleni,
A w krzaku wesołe ptaszątko zaśpiewa,
Chłodzący zefirek skrzydłami powiewa:

O! wtenczas, jakkolwiek smutek mnie przygniata,
Na widok oblicza wesołego świata
Radośne uczucie duszę mą ogrzeje,
Pierzchają złe myśli, budzą się nadzieje.

Ale dziś inaczej, bo oto w tej chwili
Żadne mi ptaszątko piosnki nie zakwili.
Zimno ścięło ziemię, skrzepły żywe wody,
Gdzie zasiągnie oko i śniegi i lody.

Wionie chłód do serca, krzepnie siła ducha,
I straszliwa rozpacz szepce mi do ucha:
Nie ma dla cię szczęścia w przyszłej życia dobie,
Rodzina wymarła, a ojczyzna w grobie.

Wszystko już przepadło. O! gdzież się podziały
Moich lat młodości piękne ideały!
Dumam. W zadumaniu moja myśl ulata
W odległą krainę nieznanego świata.

Gdzie jestem? co widzę? gęstwina dokoła.
Niebotyczne drzewa wznoszą dumne czoła.
Pomrok uroczysty gęsty las zalega.
Gdzieś z daleka wrzawa do uszu dobiega.

Co słyszę? to śpiewy, nuta narodowa,
Wzniosłego chorału wiekopomne słowa.
Już widzę. To nasi w szeregach. Hej wiara!
A dokąd powiedźcie, na kogo, na cara?

Nie widzą. Już przeszli. Nie słychać śpiewania,
A ciemność i mglistość zwolna las pochłania.
I patrzę, gdzie jestem. Ot stoję przy wodzie,
Wszystko naokoło i w śniegu i lodzie.

Słucham. Nic nie słychać. Cisza kraj zalega.
Patrzę. Żywe światło do oczu dobiega.
Zbliżam się i widzę okienko oszklone,
Od wnętrza światełkiem jasno oświecone.

A w chatce — zaglądam — widzę zawieszoną
U stropu, na belce gałązkę zieloną,
A na niej dziewczątko zawiesza jabłuszka,
I śpiewa wesołe z pełnego serduszka.

W tem ktoś skrzypnie drzwiami. Dziecina skończyła
Piosnkę, której matka dziecię nauczyła.
Zamarło śpiewanie na uściech dziecinie,
Jako spłoszonemu ptaszkowi w krzewinie.

I twarz zasłoniwszy, zamyślony stałem,
A marząc o szczęściu, które tu widziałem,
Spozieram nareszcie. Gdzie jestem? przy wodzie,
Wszystko naokoło i w śniegu i lodzie.

Ciemne, chmurne niebo. Z po za ciemnej chmury
Blada twarz księżyca spojrzy na mnie z góry,
I ruszyłem z miejsca. Jakoś lżej mi było,
Że się lepsze szczęście bodaj choć przyśniło.

Kolenda.

W Betlejemie świeci zorza
Dnia Bożego Narodzenia
Całą ziemię, lądy, morza
Złotym blaskiem opromienia.

Aniołowie się unoszą
Nad padołem łez, niedoli,
I zbawienie światu głoszą,
Pokój ludziom dobrej woli.

Świat się budzi i z anioły
Wyśpiewuje bo wesoły:
Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus, Bóg wcielony.

Powszechną radość na świecie
Jakże nam podzielić miło!
Witaj Jezu! Boże Dziecię,
Któreś nam się narodziło!

Matko Boska! okaż syna!
Niechaj maleńka dziecina
Cały świat pobłogosławi,
Ode złego ludzi zbawi!

Niechaj podniesie rączęta,
Błogosławi Polsce niemi!
Spraw to bez grzechu poczęta,
Boś królowa naszej ziemi!

Natchnienie.

Nie w każdej chwili, żywota godzinie
Z serca uczucie, z głowy myśl popłynie,
O! bo nie zawsze człowiek jest aniołem,
Ale najczęściej ziemią lub popiołem.

O tak! Nie wszyscy od chwili powicia
Mają choć jednę lepszą chwilkę życia.
Iluż to ludzi życia nić jest taka,
Że się przesnuje jak sen u pijaka!

Jedni to ziemia, która się zieleni
Od liści roślin, a potem w jesieni,
Gdy boskie słońce swoją twarz odwraca,
Na długo liście i kwiaty utraca.

Drudzy to popiół, a ci żyją życiem,
Które nie godne być nazwane gniciem.
Co gnije, żyło. Krzak ogołocony.
Z zieleni kiedyś przecie był zielony.

A ci nie żyli. W nich serce nie bije,
Ale kołace jak w terkuczce z gliny,
I człowiek taki, chociaż jest bez winy,
Nie gnije wprawdzie, ale i nie żyje.

Małą jest liczba wybrańców na ziemi,
Których natchnienie prowadzi i żywi,
Którzy się karmią myślami boskiemi.
Ze wszystkich oni tylko są szczęśliwi.

Chwilo rozkoszy i zaczarowania!
Twoja obecność niebiosy odsłania.
Bądź mi przytomna, iżbym był daleki
Świata, a niebios bliski był na wieki.

Recepta.

Kogo gniotą smutki, troski,
Nędzarz żebrak, opuszczony,
Niechaj wyjdzie na świat boski,
Boski świat zielony.

A poranne wiatrów tchnienie
Z jego skroni chmury zwieje,
A majowych drzew zielenie
Przypomną nadzieje....

Kogo dręczy utrapienie,
Kto nieczyste ma sumienie,
Grzesznik niech wyjdzie wzgardzony
Na świat, gdy zielony.

A nie znawszy na tym świecie
Nic nad brudy, nic nad śmiecie,
Wdzięk uroczy świata tego
Skruszy serce jego.

Kto się wyparł uczuć, Boga,
Kogo dręczy próżnia sroga,
Z samym sobą poważniony
Wyjdź na świat zielony.

A tysiąc w boskiej przyrodzie
Harmonijnych dźwięków w zgodzie
Wleją w duszę skołataną
Pociechę nieznaną.

Przyroda.

Nie masz nic, coby natury
Przewyższyło wdzięk uroczy,
Nic nad wieczór, gwiazdy, chmury,
Nad księżyca blask uroczy.

Kto wyższy, szuka daremnie
Chwili zachwytu, marzenia,
Tu chodź, gdzie władną tajemnie
Muzy wieszczego natchnienia.

Piękną jest, a od piękności
Lepszą matką dla ludzkości.
Któż nas żywi? Czyż nie ona?
Nie przyciśniesz z łzą do łona·
Strapionego, nie pocieszy,
Gdy go skrzywdzą, lub gdy zgrzeszy?

Naszem szczęściem ona żyje.
Łzy radości, smutku czyje
Popłynęły, aby w żalu
Nie wzięła wespół udziału?

Ona naszą powierniczką,
Naszą matką żywicielką,
Pociechą i spowiedniczką,
Kapłanką rozgrzeszycielką....

Kogo zawiodła kobieta,
Kto z żalem szuka daremnie
Pociechy, ona go pyta:
„Czyż kochanki nie masz we mnie?"

A do kochanki zawiści
Nie ma. „Kochajcie się dziatki!"

Mówi im ze szmerem liści —
„Bezpieczni na łonie matki.“

Ludzie, miłości synowie?
Córy miłości na świecie!
Tam się każdy o tem dowie,
O czem tu mówić możecie....

Chcecie zapłakać, lub radzi
Wesołość waszą podzielić,
Chodźcie! Tu was nikt nie zdradzi.
Możecie się tutaj weselić.

Macie przed sobą zamiary,
Uciekajcie! tu w ustroni
Jest tu miejsce, zamek stary.
On was w swojem wnętrzu schroni.

A księżyc stanie na straży.
Nikt się zbliżyć nie poważy,
Bo ponure cienie nocy
Zajrzałyby strachem w oczy.

Ranek.

Gdy poranna zorza świta,
Jeszcze przyroda spowita
We śnie leży, już skowronek
Pierwszy wita nowy dzionek,
Piosnkę śpiewa, leci w górę,
Budząc uśpioną naturę,

Rychło wzniosłe skalne szczyty
Opromienia blask odbity
Twardą piersią tych strażnicy.
Jaśniej w całej okolicy.
Wnet przyrody inne dziatki
Przymilają się do matki.

Już na złotym siada tronie
Jasne słońce, w złotej płonie,
Jasnej szacie, po ziemicy
Patrzy okiem Bożej łaski,
A światła jego źrenicy
Różnobarwne mnogie blaski
Rozsełają wszędy w koło
Żywo, pięknie i wesoło.

Słońce wyżej. Od opoki
Skał odbity promień strzeli
W głębie u podnóża góry,
Kędy jeszcze spały zmroki,
I budząc zgania z pościeli.
Zimnej nocy cień ponury
Przed słonecznym skrył się okiem
W ciemnym lochu i głębokim.

W wąwozach szemrzą potoki.
Skacze w wodę modrooki
Promień szybki i jak dziecię
Pluska się w krysztale wody,
Potem zrywa się i leci,
Aby zbudził wsze narody.
Od okienka do okienka
Bieży, puknie. Gdzie panienka
Śpi i marzy, psotnik dziecko
Puknie i słucha zdradziecko,

Puknie znowu i raz trzeci,
Potem zmyknie, ot jak dziecię.

Już się wszystko ze snu budzi,
Słychać bowiem głosy ludzi.
Tu gospodarz na podwórze
Wyszedł, i ku jasnej górze
Wzrok obraca, patrzy, czyli
Nie zaniesie się na słotę.
Dziś nadzieja nie omyli.
Więc też zbiera na robotę
Czeladź i też ludzi z sioła.
Podczas gdy chodzi do koła,
Patrzy i zaziera w kątki,
Liczy „Zdrowaś“ na dziesiątki.

Dzwonią kosy i motyki,
Na piszczałkach chłopcy grają,
Szeplenią żwawe strumyki,
A ptaszęta nie przestają
Śpiewać i wywodzić trele,
Jakby na jakie wesele.
A w tym rozmaitym chórze
Lekki wiater basem wtórzy.
Co raz to głośniejsza muzyka,
Słońce zaś niebieskim szlakiem
Co raz to wyżej pomyka,
Jak królowa z swym orszakiem.
Jasne słońce mknie ku górze
A głosy w ziemskiej naturze
Towarzyszą mu jak słowa
Ludu: „Tyś nasza królowa.“

Tęsknota.

Gdy zimno na dworze, kurzawa, zamiecie,
To gorzej od śniegu, co dachy przygniata,
Ciężka myśl i smutek moję duszę gniecie,
I wzdycham zgnieciony, a wzdycham do lata.

A kiedy na dworze wichr szalony dmucha,
Tutaj piętrzy śniegi a tam je rozmiata, —
Gorsza walka wichrów w głębi mego ducha,
I wzdycham rozdarty, a wzdycham do lata.

I kiedy na dworze woda zamarznięta,
I krzepnie od mrozu w kość oblicze świata,
O! to moja dusza także lodem ścięta,
I wzdycham strętwiały, a wzdycham do lata.

I kiedy na dworze gęste, śnieżne chmury
Zakrywają słońce, jakby brudna szmata, —
To również mój umysł czarny i ponury,
I wzdycham posępny, a wzdycham do lata.

Kiedy też na dworze dla zimowej pory
I cicho i smutno, milczą ptasząt chóry, —
To i moję duszę smętna cisza tłoczy,
I jestem jak zima, jak najmniej ochoczy.

Kiedy zaś spoglądnie weselsze słoneczko,
Oświeci widnokrąg, ogrzeje pagórki, —
Wtenczas się weselę, jak to małe dziecko,
I razem z robaczkiem, co lezie z komórki,

Ażeby się ogrzał, — wychodzę na pole,
I razem z ptaszyną, co śpiewek próbuje,
Z gałęzi na gałęź skacze, podlatuje,
Śpiewam, wesół jestem, szczęśliwy swawolę.

O ty luba wiosno! czem są twe uroki,
Że, jakkolwiek tłoczy smutek choć głęboki,
Kiedy na cię patrzę, na zielone drzewa,
Nie wiem sam, gdzie smutek, rozpacz się podziewa?

Zdaje się, że tego to będzie przyczyną:
Nasuwasz nam myśli, myśl tego rodzaju,
Że i nasze troski także kiedyś miną,"
I mamy nadzieję pocieszyć się w maju.

Żal za przeszłością.

Czemu smutny patrzę w świat?
Nie odzyskam dawnych strat,
Wesołości i miłości,
Nie odzyskam młodych lat!

Oddalone głosy brzmią,
Do przeszłości myśli rwą.
Gdzie rodzina, gdzie dziewczyna,
Gdzie szkolni koledzy są?

Tych kilka przyjaźnych dusz
Ach! tak dawno nie ma już,
Bo mogiła je nakryła,
Jeden został anioł stróż.

Z oczu płyną gorzkie łzy,
Uleciały złote sny,
Szczęsne chwile, jak motyle,
Pozostały czarne ćmy.

Szczęście służy tylko raz.
Szybko zbiega błogi czas.
Dnie majowe, dnie miodowe,
Na wiek wieki żegnam was!

Widna przyszłość pełna burz...
Tu nadziei nie ma już,
Świat w żałobie, na mym grobie
Krzak zakwitnie dzikich róż.

Smutne życie, smutny zgon...
Wichr powieje z zimnych stron,
I to kwiecie burza zmiecie.
Moje róże zwarzy szron.

Przy kominku.

Na kominku ogień płonie.
Usiadł staruszek przy żonie
Rzecze smutny: „Już i zima,
A naszego syna nie ma...

„Zawierzucha śniegiem miecie,
Ciśnie zimno, i zawiało.
Nieszczęśliwe, moje dziecię!
Synu! co się z tobą stało?"

Na dziedzińcu zawył psisko,
Wichr się sroży, i ognisko
Świszcząc gasi na kominie...
Starzec rzecze: „Złe nie minie..."

W tem ktoś wchodzi, i nieśmiało
Staje smutny. Słychać łkanie.
Pyta ojciec: „Mówże Janie!
Co się z naszym synem stało?“

Łzawemi spojrzał oczyma
Jan i rzecze: „Pan Bóg z wami!
Syn u Boga, syna nie ma,
Poległ pod Grochowiskami“.

Sierotki.

Siostro! co z kochankiem w parze
Igrasz, skaczesz po konarze,
Słuchaj, jakie smutki moje...
Potem zabierz dzieci twoje,
I co tylko masz drogiego,
I uciekaj z kraju tego.

Właśnie słońce zachodziło.
Tak przyjemnie, cicho było...
Ja w gniazdeczku pod skrzydlęta
Ukryłam moje pisklęta,
I z macierzyńską radością
Czuwam nad nagą młodością,
A mój druh z blizkiego drzewa
Pieśń wieczorną głośno śpiewa...

Wtem ktoś strzeli. Wysadzony
Dym i płomień buchnie w oczy,
A mój luby podstrzelony
O ziem z drzewa się potoczy.

Patrzał na mnie biedak z ziemi
Oczętami zamglonemi...
I widziałam, jak się tarzał...
Pewnie na to nie uważał
Człowiek, który bez przyczyny
Zapragnął życia ptaszyny.

Zbójco! cóż ci zawiniło
Ptaszę, które mnie lubiło,
Żyło zgodnie z sąsiadami,
Cieszyło się piosenkami?
Precz nam ztąd, i szukać w dali,
Gdzieby ludzie nie mieszkali.

Żal mi wielki za małemi...
Któż się teraz będzie niemi
Troszczył, i pracował na nie,
I ojcowskie miał staranie?

O! wy biedne moje dzieci!
Już wasz ojciec nie przyleci,
Nie pokarmi ziarenkami...
Zostałyście sierotami,
Ja sierota razem z wami.

Któż mnie biedną poratuje?
Sama was nie wyhoduję...
Więc poruczam tego pieczy,
Który stworzył wszystkie rzeczy.
Pamiętajcie na me słowa:
„Jeźli Pan Bóg was wychowa,
I przy życiu was utrzyma,
Lećcie tam, gdzie ludzi nie ma.

Powrót Taty.

Widny w polu zdobny krzyż w powoje,
Pod nim matka, z matką dziatek dwoje.
Płaczą dziatki, płacze razem z niemi
Biedna wdowa, ojciec nie na ziemi...

Przyszła wieść, że ojciec zginął,
A od onej smutnej doby
Właśnie dzisiaj rok upłynął,
Rok niedoli i żałoby.
Toż po bladem licu matki
Płyną łzy, a biedne dziatki
Głośne zmawiają pacierze,
Ojczenasz, Zdrowaś i Wierzę,
I o powrót taty proszą,
I w górę rączki podnoszą.

„Niech się mateczka nie smuci“, —
Mówią dzieci po modlitwie —
„Nasz tatko pewnie powróci!“
„Ach! nasz tatko zginął w bitwie“, —
Matka rzecze. „Bóg łaskawy.
O! bądź mamo bez obawy“, —
Dziatwa mówi — „my pacierze
Zawsze za tata mówimy.
Pan Bóg tatka nie zabierze,
Rychło tatka zobaczymy“.

Ta dziecięca wiara wskrzesza
W sercu matczynem nadzieje,
I serce nie tak boleje,
Bo nagle myśl się obudzi:

„Nie zawsze prawda u ludzi,
A Pan Bóg zawsze pociesza“.
I wstawszy matka u krzyża
Z dziećmi klęka pocieszona:
O Boże! bądź nam łaskawy!“
Ktoś obcy ku nim się zbliża,
Biegnie i chwyta w ramiona...
To ojciec wraca z wyprawy.

Serce.

Serce tajemnicą. Zkąd boleści,
Żal, tęsknotę w sobie mieści?
Może dusza w przebudzeniu
Jaśniej widzi, o tem marzy,
Co się w przyszłem życiu zdarzy,
A może inna przyczyna,
I dusza w jasnowidzeniu
Przeszłość sobie przypomina.
Wszak często w sercu uczuta
Zabrzmi nam znajoma nuta,
I sami siebie pytamy,
Co sobie przypominamy,
Coś dziwnego, a miłego,
Kiedyś dawno przeżytego.
Niedowiarki! którzy chcecie
Świadectwa nieśmiertelności!
Poszukajcie w głębokości
Własnej duszy, a znajdziecie.

Tajemnice.

Nie jednegośmy dociekli,
I pewne zdanie wyrzekli,
Że jesteśmy, że żyjemy.
Także o tem dobrze wiemy,
Że wszystko, zawsze i wszędzie
Życiem było, jest i będzie, —
A zkąd życie, gdzie przyczyny,
Istotowe pierwociny
Zkąd się wzięły — um człowieka
Tajni stworzeń nie docieka.
Wielka ziemia dziś na mapie.
Przestrzeń metrami mierzymy,
Na rozpostartym pułapie
Miliony świateł liczymy,
Zgodnie krążących w przestworze, —
A przecież człowiek nie może
Dociec wielkiej tajemnicy,
Jak być może bez granicy
Świat w przestrzeni rozpostarty.
Przewracamy dziejów karty,
I pamięci chyżym lotem
Wstecz daleko dosięgamy
Zdarzeń jeszcze przed potopem, —
Przecież pojąć nie zdołamy,
Czem jest wieczności istota.
Człowiecze! nie myśl dociekać,
Iżbyś te otworzył wrota,
Bo aczkolwiek patrzysz na nie,
Nie dociec ale dociekać
Jedyne twoje zadanie.

Istność Boska.

Jest Pan Bóg nad nami, co tym światem władnie,
A bez Jego woli jak nic nie przepadnie,
Tak nie jest bez Niego. Wszystko, co się stało,
W Bogu to początek i przyczynę miało.
Nie było na świecie narodu takiego,
Któryby w pierwotnej rozumu prostocie
Nie oddawał hołdu najwyższej istocie.
Kiedy zapytano człowieka dzikiego,
Wcale nic nie wiedział, w lasach, stepach siedział,
A przecież pytany o Bogu powiedział.
Każdy, zbrodniarz nawet, w głębi duszy wierzy,
Że wszystko na świecie od Boga zależy.
Nie masz wątpliwości o boskiej istności,
I bądź to na ziemi, bądź na wysokości,
Bądź w przyrodzie Boga, bądź w niebie widziano,
Tak, czy też inaczej Boga nazwać chciano, —
Nie masz w tem różnicy, wszyscy się zgadzają,
Choć wszechwładnej sile różne nazwy dają.
O! bo cóż nazwisko? Daleką nazwiska,
I jedynie sercu wieczna prawda bliska,
A gdy ją badamy, to cóż nas spotyka?
Usta wielbią Boga, rozum nie przenika.

Na szczycie.

(Pieśń na Solo i Chór)

Hej w góry, a wysoko!
Tam widok bawi oko,
Podnosi ducha zachwyca, zachwyca.

Wiedzie zboczami
Do góry ścieżka,
A za górami
Szczęśliwość mieszka.

Rozległa okolica,
Kraśniejsza niż dziewica,
Widna ze szczytu dokoła, dokoła.

Wzniosłaś wyżyno,
Pięknyś widoku,
Pięknaś dziewczyno
Ze łzami w oku.

Tam widny kraj daleki,
Rozsiadłe grody, sioła,
Skręty gościnców i rzeki, i rzeki.

Ojczyzno droga!
Niechaj ci sprzyja
Łaskawość Boga,
Nieszczęście mija.

W której tam stronie świata
Moja rodzinna chata?
O tam za lasem daleko, daleko...

Rodzinna chata
Wspomina lata,
Młodzieńcze chwile,
Lata motyle.

Tu orzeł nad poziomy
Rozpiąwszy skrzydła wzlata.
Tu burza mieszka i gromy, i gromy.

Daremne burze,
Ku niebios górze
Leć orle biały
Do zwycięztw chwały.

Tu koniec tego świata,
W przestworzu oko ginie,
A ziemia legła w głębinie, w głębinie.

Marne zabawy
Są ziemskie sprawy,
Co wielce słynie,
Z czasem zaginie.

Hej w górach wonne lasy,
Rozległe połoniny.
Tam trzody pasą jahasy, juhasy.

Poczciwa praca
Ludzi zbogaca.
Człowiek roboczy
Zawsze ochoczy.

Tam życie mile spływa,
Mijają snem godziny,
Pastuszek tęsknie przygrywa, przygrywa.

Pół świata płacze,
A druga skacze.
Żywot na poły
Gorzki, wesoły.

Tam pierś wolnością dysze,
Szum lasu ukołysze,
Plusk wody duszę upoi, upoi.

Głosy przyrody,
Szum lasu, wody,
Są niby słowy
Adoj Jehowy

Tu duszy nie pożera
Niepokój, żądza, trwoga.
Tu niebo ci się otwiera, otwiera.

Trudy i znoje
I niepokoje,
Co w życiu zraża,
Żądza wytwarza.

Tu czujesz Pana Boga.
Słoneczna, jasna droga
Do nieba wiedzie o Boże, o Boże!

Żyjąc szukajcie
Tuż koło siebie,
Zmarli oddajcie
Hołd Bogu w niebie.

I myśl moja ulata
Do Pana, Stwórcy świata,
I w jasnym ginie przestworze, przestworze.

Bądź pochwalona
Wieczna istoto,
Upostaciona
W piękności cnoto!

Beskidy.

Głębie odwiecznego na Beskidzie lasu
Uroczysty pomrok i cisza zalega.
Nie słyszysz tu gwaru, wrzącego hałasu,
I tylko plusk wody do uszu dobiega,
I tylko szmer liści słychać tajemniczy,
Jakby kto modlitwę odmawiał szeptaniem.
O! piękny przedstawia widok las dziewiczy.
Przecież tu jest życie. Skrzydeł trzepotaniem
Ptak przerywa ciszę, czasem wilki wyją,
A odstępy, gąszcze w swojem wnętrzu kryją
Straszliwe odyńce, kudłate niedźwiedzie.
Rzadko przez te lasy ścieżka cię powiedzie.
Ktoby nie posiadał karty i kompasu,
Pewnieby zabłądził i nie wyszedł z lasu.
A nie dość tego, pod same szałasy
Wilki się wkradają, bronią trzód juhasy,
I pędzą niedźwiedzie za wółmi goniące.
O! nie wchodź do lasu. Tam zwierząt tysiące.
Kiedyś, może kiedyś nikt tu nie zabłądzi,
Nikomu też niedźwiedź szkody nie wyrządzi.
Kiedyś, może rychło, może za lat kilka
Nikt tu nie przydybie żarłocznego wilka,
Nikogo nie zdybią straszliwe odyńce.
Kiedyś, może rychło, kiedy braknie lasów,
Nie potrzeba będzie, ni kart, ni kompasów,
Bo na miejscu ścieżek będą tu gościńce,
A niedźwiedzie, wilki znajdą dla się leże
W bajce jak niejedno starożytne zwierzę,
Które kiedyś żyło, a dzisiaj je liczą
Do mytu wraz z inną historyczną dziczą.

Kiedy coraz częstsze wynalazki nowe,
Koleje żelazne, telegrafów druty
Przerzną i przeszyją te lasy szpilkowe,
Wozić będą ludzie, a wozić dopóty
Drzewo za granicę, aż wszystko wywiozą,
I obnażą góry, te dziewicze góry
Nie pogwałconej do dziś dnia natury,
Obwlókłszy je potem najśmieszniejszą prozą,
Zrobią z nich co zechcą, istne niewolnice.
Dzisiaj jeszcze piękne, bo czyste dziewice,
Których młode lica rumieńcem się kraszą,
Kiedy ranne słońce patrzy na twarz waszą!
Gdybyście wiedziały, co za los was czeka,
Że się was ma dotknąć brudna dłoń człowieka,
Tobyście runęły na pierwszego, który
Śmiałby się przybliżyć, krasawice góry!
Jak fałdy, koronki panieńskiej sukienki,
Tak te gęste lasy kryją wasze wdzięki.
Jak przyjemnie słyszysz ich szelest, ich wonie!
Tak, jakbyś się tulił do piersi istoty
Najmilszej i marzył spocząwszy na łonie,
I pieścił, całował złotych włosów sploty,
I patrzył w jej oczu blaski i uroki
Jasne jak te w górze niebieskie obłoki,
Co podobnie oczom ciekawej dziewczyny
Przedzierają gąszcze, pułapu szczeliny.
Zabębnią siekiery, uderzą topory.
Stukiem przerażony zwierz wylezie z nory.
Ciekawy zdziwiony podbiegnie zobaczyć,
Coby nadzwyczajny tumult ten mógł znaczyć,
Wyszczerzy pazury, wzrok wytrzeszczy dziki,
Gotów jest zuchwałe gromić napastniki,
Ale obaczywszy, co się dzieje w lesie

Z rozpaczą i strachem szybko się wyniesie,
Uprowadzi młode pieszczochy samicy.
Smutno im opuścić własne pomieszkanie,
Po raz bo to pierwszy król tej okolicy
Uchodzi z rodziną, idąc na wygnanie.
W lesie już szerokie wyrąbano luki.
Co raz to głośniejsze uderzenia, stuki
Tłuką się po leśnej, bezdennej ciemnicy,
Jak ponure echa w grobowej piwnicy.
Co raz szersze próżnie. Na wiele mil w kole
Czyste, zarzucone suchym chrustem pole.
Tu i ówdzie drzewo, koszlawe, niezdałe.
Wytrzebiono lasy odwieczne, wspaniałe.
Góry stają nagie, dziwne mają miny.
One, które dawniej tak były ponure,
One, co patrzyły na niebieską górę
Z powagą, są dzisiaj śmieszne arlekiny,
Miejscami nagie, to znowu krzakami
I chwastem pokryte, jak żebrak szmatami.
Ani już na niebie nie widać sokoła,
Co pierwej oczyma śledził kraj dokoła,
Szukał pożywienia. Terazby nie łatwo
Znalazł na tych górach jaki sposób życia.
Odleciałaś zatem ty pierzasta dziatwo,
Gdzieś w dalekim kraju szukając ukrycia.
Cała okolica pozbawiona krasy.
Dawniej tu słyszałem wesołe juhasy
Na zwiniętych tubach z drzewnej, świeżej kory
Wiodące ze sobą graniem rozhowory.
Odgłos powtarzany za górami ginął.
Była to sielanka, której czas przeminął.
Ha! nawet potoków tych tętnic przyrody,
Gdy powysychały, już nie szumią wody.

Czy śmierć nad przyrodą skrzydła rozpostarła?
Gdy pulsy nie biją, znać że już umarła.
Otworzyłem oczy. Ach! gdzie jestem? W lesie.
A może to wszystko przecież prawdą było?
Nie! nie! bo do uszu podmuch wiatru niesie
Szum płynącej wody. To mi się przyśniło.
O góry! o lasy! o leśne zacisze!
Zaułki tajemnic, odległe ustronie!
Tam świeże powietrze, balsamiczne wonie,
Tam potok szumiący do snu mnie kołysze.
Beskidy graniczne! Jakże wam do twarzy
W waszym leśnym stroju! Niechże się nie zdarzy,
Iżby was obdarto, iżby wasza szata
Została sprzedana na tandecie świata.

Wszystko kupne.

Mamy dzisiaj piękne dzieła, pisma, malowidła,
I wymowa jeszcze miewa unoszące skrzydła,
I są tacy, ale mało, którzy piękność czują,
Choć swych uczuć nie napiszą, ani wymalują,
Ale najmniej takich zawsze, których ludzkie żądze
Nigdy uczuć nie sprzedadzą za sławę, pieniądze.

Oto człowiek! gardzi światem, żyje w gorzkiej nędzy,
Świat ten cały brudnym widzi, bo nie ma pieniędzy,
Dumny z biedy, nic bogactwa, ma się za wyższego,
A do świata za pieniądze wróci się do niego.

A ten drugi gardzi sławą, bo cóż w sławie widzi?
Dym i parę, a nic więcej, toż się sławy brzydzi.

Niech usłyszy głośny okrzyk pospólstwa licznego!
Choć unikał świata zawsze, wróci się do niego.

Patrz! kochanek, co przysięgał ulubionej wiarę,
Że jest dla niej gotów zawsze każdą znieść ofiarę,
Że jej zawsze stałym będzie do grobowej deski.
Spytaj dziewczę, czemu dzisiaj płacze gorzkie łezki.
Oto miłość ją zawiodła. Wietrznik samolubny
Dla bogactwa nie sierocie uwił wianek ślubny.

Patrz! tu córka nieszczęśliwa, żona, niewolnica,
Cień nie człowiek, bo wybladły młodociane lica!
Któż ją zmusił, kto ją zakuł w nienawistne pęta?
Czasu branek i jasyru nikt już nie pamięta.
To rodzice, którzy córkę nad życie kochali,
Dla tytułu, dla majątku za mąż iść kazali.

O! ten pisał, ten malował, tworzył arcydzieła.
Zkąd się taka znakomitość w tym człowieku wzięła?
Namazaniec krzyczą ludzie. Człowiek ten natchniony
Wyrzekłby się swej wyższości za lada miliony.
Kto wie nawet, co w natchnieniu ducha potężnego
Utrzymuje! Może względy, że ztąd imię jego.

Ten przemawia, przekonywa, nasienie rozsiewa,
Boże ziarna nie po skale, lecz na żyznem polu,
A za grosze sławny mowca inaczej zaśpiewa,
Zamiast ziarna zaprzedaniec nasieje kąkolu.

O! dlaczegoż tylekrotnie szlachetnej zasadzie
Namiętności, materyalizm stoją na zawadzie?
Dlaczego człowiek dla zysków uczuć się wypiera,
Wbrew lepszemu przekonaniu siebie poniewiera?
Boże! usilnij mą wolę, iżbym mocen w duszy
Był jak twarda pierś opoki, której wichr nie wzruszy!

Materyalizm.

Bądź uczony, zasłużony,
Dzisiaj tego świat nie ceni,
I gdy nie masz nic w kieszeni,
Zawsze będziesz pogardzony,
A nawet nie masz tytułu
Liczyć siebie do ogółu.
„Coż on jest?“ — tak każdy pyta —
„Żebrak więcej nic i kwita!“
Ubóstwo liczą za winę.
Nikt nie pyta o przyczynę.
Na jedno wcale wychodzi,
Dlaczego jesteś ubogi,
Czy cię biedny ojciec rodzi,
Czyś nie umiał znaleźć drogi.
I chociażbyś niósł w ofierze
Pracę dla zbawienia świata,
Świat cię pożałuje szczerze,
Pożałuje jak waryata,
Boś dla ludzi czas utracił,
Siebie przytem nie zbogacił.
Dziś na świecie ma znaczenie,
Wzięcie, tytuł i nazwisko,
Kto ma niepróżne kieszenie,
Albo świetne stanowisko.
Niech to będzie oszust, który
Biegłością w prawie, matactwem
Obdarł bliźniego ze skóry,
Albo złodziej, co w tym celu
Obszedł się bez praw, fortelu,

I cudzem utył bogactwem,
Niechaj to będzie niecnota,
Największa w świecie głupota, —
Świat na pieniądz dzisiaj baczy,
Tamto wszystko nic nie znaczy.

Mamona.

Nie ma w społeczeństwie dziś różnicy stanów.
Świat się dawno wyrzekł czci Wielmożnych panów.
Hrabiowie, książęta, Jaśnie Oświeceni
Tyle tylko znaczą, ile jest w kieszeni.
Za dyplom, rodowód, za herby na tarczy
Za imię — majątek więcej niż wystarczy.
Toć nie wybić z głowy dzisiejszemu światu,
Iżby przed bogatym nie pochylał czoła,
Ubogich nie wliczał do proletaryatu.
Taka dziś zasada, nie poradzisz zgoła.
Czem dziś wykształcenie i umiejętności?
Takie rzeczy również nie mają wartości.
„Suszyć sobie głowy“ — mówią — „niepotrzeba“
„Najważniejszą rzeczą jest kawałek chleba“
„I ludzie uczeni, nie świecący złotem“,
„Głupi są i słusznej pogardy przedmiotem“.
Niczem też na świecie praca i zasługi
Byleś dał zarobić, zawsze płacił długi,
Wielbią cię, szacują, stoisz na świeczniku,
I rzekomych zasług liczą ci bez liku.
A cnota? Cóż cnota? Kto marzy o cnocie?
Wszystko dziś polega na srebrze i złocie.

Tak te rzeczy ogół sobie wyobraża:
Bogacz nie ma grzechów. Kogo nędza gniecie,
Oto jest kandydat godny na zbrodniarza.
Być hołyszem to jedyny wielki grzech na świecie.
Dowód nie daleko. Kto dźwiga okowy?
Żebracy, a nigdy oszust milionowy.
Ideje nareszcie, wzniosłe myśli, cele
Dawno już przestały ludziom przewodniczyć.
Zręczne spekulacye, obroty, fortele —
Oto myśl przewodnia. Umieć dobrze liczyć —
To mi jest ze wszystkich najlepsze zadanie.
Mamono fałszywa, pogański bałwanie!
W starym testamencie o tobie pisano,
Że ci się potworze jak Bogu kłaniano,
Że ci ludzie z ludzi czynili ofiary.
Gdy my dziś wyznawcy Chrystusowej wiary
To samo czynimy, bliźniego gotowi
Przynieść ci w ofierze złotemu cielcowi, —
To chociaż minęły starożytne dzieje,
Twoja cześć bałwanie po dziś dzień istnieje.

Talizman szczęścia.

No! jak się masz bracie! przy zdarzonej chwili
Możebyśmy z sobą szczerze pomówili
O największej kwestyi, która ci z pewnością
Dolega, jak to mówią, stoi w gardle kością?
Źle ci jest, nie prawda? bo mimo starania
Wcale nie zdobywasz dla siebie uznania,
A ślepa fortuna coś nie ma ochoty

Przynieść w darze złoto, a choćby banknoty.
Gdyby mi — tak marzysz — każdy nadskakiwał,
Z rewerencyą wszędzie miejsca ustępywał,
Gdyby moje słowo jak wyrocznia było,
A wszystko co zrobię zdziwienie budziło,
Gdybym posiadając powszechne znaczenie
Miał także pełne pieniędzy kieszenie,
Jadł smaczne potrawy, nosił modne stroje,
Pięknie meblowane zajmywał pokoje,
Gdybym dzień przyjemnie na rozrywkach trawił,
A do późnej nocy wesoło się bawił,
To byłbym szczęśliwy, lecz gdy nie ma tego
Za cóż się poczytam? czy za szczęśliwego?
Takie narzekania gdy od ciebie słyszę,
W porę ci receptę na szczęście zapiszę.
Widziałem kochany mających znaczenie,
Którym się kłaniano zawsze uniżenie
W oczy, a zaocznie jak z głupców szydzono.
No! cóż? czy koniecznie do nich chcesz należeć,
Aby cię podobnież za nos prowadzono?
Miej rozum! pamiętaj, że pochlebcy mowa
To kłamstwo, obłuda! prawdziwe uznanie
W duszy się ukrywa, niebogate w słowa,
Lecz czy możesz wiedzieć, żeś zasłużył na nie?
Myślisz, że z bogactwem szczęście się zespala?
Przeciwnie! z niedolą często się kojarzy,
I żyć nam spokojnie wcale nie pozwala.
Niebacznyś mój bracie! Często się wydarzy
Że syty bogactwa, na zdrowiu zniszczony
W łeb sobie palnie, zostawi miliony.
Czy sądzisz nareszcie, że ubranie modne
Bardziej niźli zwykłe może być wygodne,
Albo że są proste mniej sytne potrawy,

Albo korzystniejsze późne w noc zabawy,
Lub pożyteczniejszy niczem czas spędzony?
Sam już na to łatwo odpowiesz kochany!
Mimo to zapytasz, chcąc być pouczony:
Jeźli nie zaszczyty, jeźli nie miliony
Szczęście mi przyniosą, cóż mnie uszczęśliwi?
Zdrowie i uczucie, które człowiek żywi
Pełniący, co każe wypełniać sumienie.
Co po za tem leży — wszystko jest złudzenie!

Podziękowanie. *)

Widziałem Panowie rozmaitej broni
Żołnierzy na koniach i pieszych bez koni,
Ale jak Bóg miły z tych wszystkich szermierzy
Straży ochotniczej pierwszeństwo należy.
Co za dziarska mina, kiedy stanie w szyku
Poznać duszę mężną, dzielność w ochotniku,
Cała adjustycya jak mu jest do twarzy!
Nie masz jak członkowie ochotniczej straży!
Pięknie przykrojone, brązowe mundurki
Zdobią srebrne paski i czerwone sznurki,
A pełen powagi i mocy uroku
Wisi na łańcuszku toporek przy boku.
Kasko na ich głowie od rzymskich żołnierzy.
Dalipan Panowie! niech mi każdy wierzy,
Że coś pyszniejszego nigdy nie widziałem,
Przeto się do straży dzisiaj zapisałem.

---

*) Wygłoszono na scenie z powodu przedstawienia amatorskiego na dochód Straży ochotniczej Samborskiej.

A gdy jeszcze nie wiem, jak użyć przyborów,
Sikawek, drabinek, wężów i toporów,
Więc mi polecono w moim nowicyacie
Rzec Wam Dobrodzieje: Niechaj Bóg zapłaci
Za Wasze starania, coście dołożyli
Celem nas poparcia w teraźniejszej chwili.
Wierzajcie Panowie, że wdzięczni będziemy
Płacąc, cośmy winni, jak płacić możemy,
Broniąc od napaści płomiennego wroga
Was zacni Panowie przy pomocy Boga.
(Głosy: Pali się!)
Gore! mocny Boże! gdzież to? ha! w tej stronie!
Czarne tło niebiosów krwawą łuną płonie,
Z chmur na widnokręgu rzekłbyś krew wycieka...
W kłębach dym wybucha ze środka ogniska,
I unosi głownie, które piekło ciska.
Nieszczęśliwi ludzie! jakaż noc was czeka!
Może bez ratunku w tem morzu płomieni
Wraz z całym dobytkiem będziecie zgubieni!
Pożar jak myśl szybka ofiary porywa,
A skuteczna pomoc znikąd nie przybywa...
(Turkot wozów)
Ha! to Straż pośpiesza, w tak okropnej nocy
Biednym nieszczęśliwym idąc ku pomocy.
Jedźcie! waszą drogę przeżegnać się godzi,
Za szlachetne czyny niech was Bóg nagrodzi!
Śpiesz się do pomocy nieszczęśliwym skora
Straży ochotnicza! może jeszcze pora
Ocalić co ogniem dotąd nie zniszczone:
Niemowlę w kolebce błogim snem złożone,
Mienie nieszczęśliwych trudem uzbierane,
Bydło, psy domowe u wrót przywiązane...
Szlachetni panowie! na szczęście tam zgliszcza

Nie ma dzisiaj wcale, lecz ileż to razy
Podobne nieszczęście u Was się nie ziszcza?
Gorsza rzeczywistość, niźli jej obrazy.
W on czas z wysokości ratuszowej wieży
Ilekroć złowrogi tylko dzwon uderzy,
Straż ogniowa śpieszy w dzień, a niemniej w nocy,
Gotowa z ochotą służyć do pomocy
Nieszczęśliwym ludziom, których los spotyka,
Że znajdują w ogniu wroga, przeciwnika.
Ażaliż ci ludzie przed wielu innymi
Nie są waszej łaski i względów godnymi?
Niechże wasze serce miłością ich darzy,
Za co tu wypełnię moje powołanie,
Podnosząc imieniem ochotniczej straży
Okrzyk z pełnej piersi: Żyjcie Samborzanie!

Do widzenia.

(Na nutę L. Marka).

Okropny to zaiste cios,
Gdy nas pozbawi srogi los
Istoty najbardziej kochanej.
Czem wielkość jak największych strat,
Gdy tracisz w niej cały świat
Rozkoszy na ziemi doznanej?

Z kochanką chciałbyś wieńce wić,
I złotą prząść żywota nić
Bez końca...
Ach! szczęście tu wiecznem nie może być...

Patrz! często krótki mija czas,
Samotnych pozostawia nas
W żywocie jak nocy bez słońca!
Czyż warto żyć?

Rozstania kiedy nadszedł czas,
Więc do widzenia jeszcze raz
Z dalekich stron,
Nim przyjdzie zgon
Tem słowem tylko żegnam was.
Niech Boska moc
Przez wszystkie dnie
I każdą noc
Wam pomoc szle,
Co wszelkie zło
Odwrócić chce,
A teraz do
Widzenia się!

Grób bohatyra.

Na smętnem polu, nad lichą drożyną
Skąpej murawy kobierzec zielony.
Tędy potoka srebrne nurty płyną,
Tu stoi pomnik wiekiem pochylony.

Na widnem polu, daleko mieszkania
Stoi ruiny ten obrazek szczery,
Już biel nagości muru nie zasłania,
Z napisu widać zniszczałe litery.

Krzyrzyk zardzewiał, cegły wyzierają,
Miejscami trawą porośnięte ściany.
Czyje tu kości w grobie spoczywają,
Kto tu być może z ludzi pochowany?

Ktoś tu spoczywa, bo widać grobowy
Kamień zaryty w ziemię do połowy.
Tuż obok brzoza warkocz rozpuściła.
Pewnie ją ludzka ręka zasadziła.

Nadleciał ptaszek, na krzyżowym znaku
Usiadł i smutnie nucić coś zaczyna...
„Powiedz niebieski, miły śpiewaku,
Czyja w tym grobie wieczności dziedzina?“

Kogo ta ziemia kryje w swojem łonie,
Komu należy krzyżyk zardzewiały.
Po czyim smutnie wyśpiewujesz zgonie,
Powiedz mi, proszę, mój ty ptaszku mały“!

„Ja kiedy śpiewam, to nie śpiewam wcale
O tym, co spoczął w tym samotnym grobie.
Sam tego nie wiem, zkąd me smutne żale,
Dla czego śpiew mój pogrążon w żałobie.“

„Wprawdzie w tę ustroń nieraz przylatuję,
Gdy ranny wietrzyk tchem dolinę chłodzi,
Ale się o nic tu nie wypytuję,
Bo mi o ustroń, nie umarłych chodzi“.

„Tu na krzyżyku choćby krótką chwilę
Chętnie przepędzam każdego zarania,
A gdy me piosnki żałośne wykwilę,
To lecę dalej powtarzać śpiewania“.

Skończyło ptaszę, lekko skrzydełkami
Zatrzepotało, jeszcze coś nuciło,
Wzbija się w górę, krąży nad polami,
I poleciało, w lasach się zgubiło.

„Nadobna brzozo o smutnych konarach!
Kogo ty płaczesz, chciej mi wyznać szczerze!
Kto tu spoczywa w śmiertelnych kotarach,
Nad kim tu zmawiasz grobowe pacierze?“

„Dumam i tęsknę, smutna moja dusza,
Ale daremnie pytałbyś dlaczego,
Coś mimowolnie mnie do płaczu zmusza...
Tęsknę i płaczę, lecz nie umarłego“.

Umilkła brzoza. Wtem potoczek mały
W zaroślu skryty zapluszczy, zamruczy.
Tajemne głoski z wiatrem uleciały,
I las opodal zaszumi, zahuczy.

„Żywy potoku z niebieskiemi wody,
Od żyjącego świata tak daleki!
Na łonie cichej a dzikiej przyrody
Dyszesz wśród jaru niepamiętne wieki“.

„Tyś wiecznie trzeźwy, nigdyś nie jest senny,
Wiecznie tli życie w twojem łzawem oku.
Czy czas zimowy, letni lub wiosenny,
Ty patrzysz zawsze za dnia i o zmroku“.

„O czem ty bajesz, o czem gwarzysz tyle?
Czy wieść podajesz o starej mogile?
Minionych wieków dzieje znane tobie.
Powiedz, kto spoczął w tym samotnym grobie?“

„Nie grób jest treścią w moim rozhoworze,
Lecz, czego ptaszę powiedzieć nie może,
I drzewo także wiem. Jakby mi się śniło....
O bo to dawno, bardzo dawno było“.

„Północ już była. Wtem ludzie przybyli
Na moim brzegu trupa położyli,
Uklękli potem, wznieśli w górę dłonie.
Jeden za wszystkich modlił się po zgonie“:

„„Wszechwładny Panie! klękamy przed Tobą
Bogiem i Ojcem okryci żałobą!
Racz Twojej łaski użyczyć promyka
Świętej pamięci duszy nieboszczyka!““

„„A ty szermierzu, coś dowodził nami
I wiódł ochoczo w bój z najezdnikami,
Spocznij w tem miejscu! My rozprószeni
Tułać się będziemy, a ty leżeć w ziemi...““

„„Żegnamy cię wodzu! Już się rozstaniemy!
Ty w grobie lęgniesz, a my w świat pójdziemy!
Jeżeli który zabłądzi w te strony,
Niech ci postawi pomnik zasłużony““.

„I jęto kopać. Przycichł wichr szalony,
Zaświecił księżyc zpoza chmur zasłony,
Spojrzał i zniknął. Za nim poznikali
Smutni rycerze, co tu grób kopali“.

„W kilka lat potem o północnej dobie
Starzec o kiju usiadł na tym grobie,
O srebrnym włosie, pooranej twarzy,
Pewnie ostatni z byłych tu grobarzy...

„Modlił się, płakał, a gdy słońce zeszło,
Kilku z pobliża wieśniaków nadeszło.
Jęli się pracy. Wkrótce wystawiony
Ten oto pomnik, pewnie zasłużony“.

Polegli.

Hej! na polu twarde łoże...
Tam bracia nasi polegli...
Nikt potem wiedzieć nie może,
Gdzie kresu życia dobiegli.

Cisza nocy ich okryła,
Patrzy księżyc z nieba.
Już ich wieczna śmierć uśpiła.
Nic im nie potrzeba.

Idźcie bracia, idźcie w dal...
To wyroki Pana!
Cóż pomoże próżny żal?
Śmierć nieubłagana!

Tak przedwieczna wola chciała.
Wy się rozprószycie.
Czy też kiedy choć wspomnicie,
Gdzie tych śmierć spotkała?

Spyta ojciec, matka spyta:
Gdzie się syn obraca?
„Każda matka swego wita
A mój syn nie wraca!“

Biedna matka, choć się smuci,
Ma nadzieję przecie...
O już nigdy syn nie wróci
Bo na tamtym świecie!

Już spoczywa w chłodnej ziemi
Z rodakami swemi,
Co złożyli w grobie kości,
Broniąc świętych praw wolności.

Powrót.

Po kim twoje łezki płyną,
Może mróz powarzył kwiatki,
Może płaczesz ojca, matki,
Co twego żalu przyczyną?
Może ptaszek, co ci nucił,
Kochanek, co cię porzucił?
Starzec to pytanie zada,
Dziewczę z płaczem odpowiada:

„Ej nie płaczę ja po matce,
Ani za ptaszyną w klatce,
Nie straciłam ojca, matki,
Nie powiędły moje kwiatki,
I kochanek nie porzuci,
Ale poszedł bić Moskala,
Nie wraca, może nie wróci...
To mnie do płaczu zniewala“.

Dziewczę gorzkie łzy ociera,
Wtem ktoś puka, drzwi otwiera.

„Jasiu! o Jasiu mój drogi!“
Krzyknie dziewczyna i bieży,
I własnym oczom nie wierzy.
Jasio do serca ją tuli,
Chwieje się biedak o kuli,
Jasio kaleka bez nogi.

Pory roku.

Z wiosną przyroda wesoła,
Wszystko zielone dokoła,
Wszystko do cię się uśmiecha.
A dla rolników pociecha.

Łagodny wietrzyk powiewa,
A w nurtach rybki pluskają,
W krzewach żwawe ptaszę śpiewa,
Gdy poranne zorze wstają.

W lecie wichry, burz zwiastuny
Złowrogie głowy podnoszą,
Błyskawice i pioruny
Moc potężnych niebios głoszą.

Fantastyczne chmur bałwany
Jasne słońce zasłaniają,
Ryczą wściekłe huragany,
Drzew gałęzie uginają.

Chwilkę potem cisza święta,
I umilka odgłos gromu,
Kryjówek patrzą zwierzęta,
A ludzie spieszą do domu.

A potem nagła ulewa,
Mocniej się kołyszą drzewa,
Silniejszy grom błyskawica,
Rozpasana nawalnica.
Ale wkrótce już po burzy,
Tło niebieskie się przeciera.
Tam się jeszcze niebo chmurzy,
Tu jasne słońce spoziera.
Od spiekoty liść zwiędniały
Żywą barwą połyskuje,
I wesoło ptaszek mały
Na gałęzi wyśpiewuje.
W jesieni drzewa konary
Niosą nam bogate dary,
I weselą się wieśniacy,
Bo im dojrzał owoc pracy.
Niezadługo liścia nie ma,
Pola puste będzie zima,
Światła i ciepła ubywa,
Rzekłbyś życie dogorywa.
Ptactwo leci w inne strony,
Już pada śnieg na zagony
Przyroda życia pozbyta,
Białym całunem spowita.
Przyroda żyje i ginie.
Ty także żyjesz człowiecze!
Jak młodość twoja przeminie,
Tak całe życie uciecze.
Młodzież swawolna, wesoła,
A męża czeka mozoła.
W jesieni owoce zrywasz,
A w zimie w grobie spoczywasz.

Dzień a życie.

Wpoza lasów, gór,
Wieńca złotych chmur
Ranne słońce spojrzało,
Uśpiony świat,
Zroszony kwiat
Uśmiechem powitało.

Zefir powiewa,
Ptaszyna śpiewa,
Szeleści osika,
A fale strumyka
Zieloną gęstwiną
Szemrząc wartko płyną.

Wonieją kwiatuszki.
Brzęczą drobne muszki,
Lecz słońce dopieka,
I radość ucieka.
Więdnieje kwiatuszek,
Ustaje brzęk muszek,
Ucichają ptasząt trele.
Gdzież się podziało wesele?

Tak w pasmo żywota
Splecione we dwoje
Smutek i ochota
Rozkosze i znoje.

Życie człowieka.

Cztery razy człowiek żyje
W krótkiej życia chwili,
Nim śmierć godzinę wybije,
Nad grobem ptaszę zakwili...

Dziecię matka wykarmiła,
Pieszczotami płacz tuliła,
A przyroda pącz fijołka
Rozwinęła na aniołka.

Jak wesoły młodych lat,
Jaki błogi dziecka świat!
Choć ten światek taki mały,
Lecz szczęśliwy błogi cały.

Wszystko się dziecku uśmiecha,
Wszędzie wesołość, uciecha,
Wszędzie przyczyna ochoty,
A nigdzie bolu, zgryzoty.

Nibyto w miłem uspieniu
Mija życie w śnie, marzeniu,
Bez boleści, smutku biedy,
Samo dziecię nie wie kiedy.

Ale prędko lecą lata...
Na różowy obraz świata
Patrzy młodzież. Dla przyjaźni
Dla miłości żyje cała,
I na skrzydłach wyobraźni
Poza krańce świata tego
Radaby duchem wzleciała.
Bo tam w górze, tam wysoko,
Tam młodzieńcze widzi oko

Świat przecudny i wspaniały,
A w tym świecie ideały.
Młodzian się niemi zachwyca.
Płonące oko i lica
Świadczą, że młodzież szczęśliwa
Pełnej rozkoszy używa.

Ale prędko lecą lata,
I nie wrócą, nie...
Od pełnego trosek świata
Chłodny wicher dmie...
Ideały poznikały,
Żal za niemi, a z daleka
Widna troska, co nas czeka,
Widać trud, mozoły, znoje...
Idzie z niemi mąż na boje,
Pilnością i pracą zwycięża.
Zwycięztwo szczęściem dla męża.

Lecą lata, lecą w dal...
Czas zamiata troski, żal,
Nie dosięgnąć zwycięztw chwały,
Komu włosy posiwiały.

Patrzy chętnie starowina,
Jak drugi życie zaczyna,
Bo starości cały świat
Jest wspomnieniem młodych lat.

Słabym starcem lata chwieją...
Od grobowca wiatry wieją...
Idzie do wiecznej komnaty,
Śmierć mu na pomniku ryje:
Co tu leży cztery światy
Przeżył, a teraz nie żyje.

Do ptaszyny.

Biedna ptaszyno, coś główkę zwiesiła,
I smutnie patrzysz ku stronie,
Żkąd miły wieje zefirek przez błonie
Z wieścią, że wiosna przybyła!

O czem ty marzysz, gdzie jesteś myślami
W słodkiem, choć złudnem marzeniu?
Może spiewając w rodzinnych drzew cieniu
Za morzem z braćmi, siostrami?

Nie chcesz ziarneczka, co w kubku cię czeka,
Myślisz się zbawić ucieczką?
Śmierć cię pochłonie za twoją klateczką,
Przestrzeń dzieląca daleka!

Miejsce dla ciebie, dla mnie czas daleki...
Nic twego smutku nie skróci.
Czas dla mnie także nigdy nie powróci...
Nadzieja znikła na wieki!

Wygnańcy.

(Na nutę J. Bilikowskiego.)

Kogo w młodości nie chowa rodzina,
Kogo przytula obcych chata, —
Ten jest jak gniazda pozbyta ptaszyna:
Ciepła brak mu, smutek przygniata.

Kto się nie tuli do ojczyzny łona,
Kim los po obcym kraju miota, —
Ten jest jak ryba wody pozbawiona:
Brak mu siły, źródła żywota.

Nie daj nam Panie żyć między obcymi,
W obcym się kraju poniewierać,
Ale daj żyć nam pomiędzy swoimi,
W ojców ziemi daj nam umierać!

Przyjacielowi na pamiątkę.

Potok życia chyżo płynie.
O tem, co dawniej bywało,
Coś ukochał duszą całą,
Czasem i pamięć zaginie...

Dziś więc, kiedy idziesz w świat,
Na wspomnienie dawnych lat
Piszę tobie słowa te:
Bracie! nie zapomnij mnie!

A jeźli pamięć bogata
Zachowa dawniejsze lata,
Któreśmy razem spędzili, —
Módl się bracie, bo w tej chwili
Może właśnie dogorywam,
A może już w grobie spoczywam...

Wiersz pozgonny.

Ku wiecznej pamięci Jego Świątobliwości Piusa IX.
papieża i opiekuna narodu polskiego.

Zgon najsławniejszego na świecie jenijusza
Nie tyle spokojne umysły porusza,
I nie tyle serca narodów zatwarza
Śmierć uwielbianego króla i cesarza,
Ile wieść o Twoim zgonie Ojcze Święty
Smutkiem napełniła wszystkie kontynenty.

Gdzie na świecie znajdziesz tak odległe kąty,
Gdzieby nie wiedziano teraźniejszej doby,
Żeś nam Ojcze umarł Piusie Dziewiąty,
I gdzieby po Tobie nie było żałoby?
Błyskawicą biegnie wieść na wszystkie strony,
Na drugiej półkuli już biją we dzwony.

Żałobne sztandary zatknęły wieżyce,
Porzuciły kwiaty nadobne dziewice,
Umilkły spiewy i muzyczne chóry,
A zewsząd do Pana bije głos do góry,
Głos błagalnych modłów, abyś Ojcze Święty
Za Twoje zasługi był do nieba wzięty.

Piusie Dziewiąty! przed doczesnym zgonem
Tyś szczególniej naszym zawsze był patronem,
I naszym prorokiem! Ty wieszczemi słowy
Sprawiłeś, że łatwiej dźwigamy okowy.
O! nie opuść nadal krzywdzonych z opieki,
A w pamięci naszej będziesz żył na wieki.

Spiewak,

(Goete).

Co tam słyszę przed wrotami?
„Panowie! czy uważacie?
Wpuścić śpiewaka! Przed nami
Niech zaśpiewa. Po komnacie
Niech się dźwięczny głos rozlega!
Król to mówi, paź wybiega,
I wpuszcza starca, śpiewaka.

„Witam Was szlachetne pany!
Witam Was prześliczne damy!
Tyle gwiazd jak na sklepieniu.
Któż je nazwie po imieniu?
Co za świetność, blask uroczy!
Zamknijcie się moje oczy,
Nie czas wam patrzeć, podziwiać".

I jak do snu oczy złoży,
I w dźwięczne struny uderzy,
A dumnie każdy z rycerzy,
A w podołki patrzą hoże.
Król z upodobania w darze
Śpiewakowi podać każe
Łańcuch z złotemi ogniwy.

„Nie dla mnie złote łańcuchy!
Niechaj niemi rycerz dzwoni,
Co wrogów lance w okruchy
Łamie ku twojej obronie.
Kanclerzowi zrób ofiarę.
Niech z tylekrotnym ciężarem
Jeszcze i ten złoty dźwiga“.

„Śpiewak jak to ptasze śpiewa,
Co w gałęziu mieszka drzewa.
Sama pieśń go wynagrodzi,
Co się w jego piersi rodzi.
Jedno tylko mam żądanie!
Najlepszego każ mi Panie
Podać wina w złotej czarze“.

I podano ją starcowi.
Podniósł i wychylił czarę:
„Błogosławieństwo domowi:
Gdzie to jest nikczemnym darem!
Weselcie się i radujcie,
Za co Panu tak dziękujcie,
Jak ja dziękuję za wino.“

Kopacz złota.

(Goete).

Żebrak na duchu złamany
Wiodę żywot opłakany.
Ubóstwo wielką sromotą,
A jedynem szczęściem złoto.

Aby skończyć moje bole,
W ziemi skarbu szukać wolę,
Własną piszę krwią na karcie:
„Masz za skarby duszę czarcie.“

Zakreśliłem kredą koła.
Już goreją kości, smoła,
I w przypisanym momencie
Straszne wyrzekam zaklęcie.
Rychło też biorę za radło,
Aby złoto nie przepadło,
I kopię w ziemi gorliwie.
Ciemno było i burzliwie.

A w tem światło błyśnie w oczy.
Właśnie godzinę północy
Wybiły miejskie zegary.
Prędzej, nim rozmyśleć mogę,
Czy pozostać, czy dać nogę,
Stanie obok pełen wdzięku
Młodzian. Światło biło z czary,
Którą tenże trzymał w ręku.

A z pod aureoli wieńca
Patrzały oczy młodzieńca
Lubo, jak poranne zorze.
Wstąpił w koło z światłem w czarze,
I uprzejmie pić mi każe.
Pomyślałem: „Młodzian taki
Żaden złego poseł jaki,
Ni sam diabłem być nie może“.

„Skosztuj! To życia ochota,
Byś się przejął moją mową,

I nie przyszedł szukać złota
W żadną straszną noc grudniową.
Pracuj we dnie od poranku,
Tydzień cały bez przestanku,
Spocznij w nocy i w Niedziele,
A mieć będziesz złota wiele“.

Straszydła.

(Goete.)

Po bezludnej, ciemnej błoni
Kto w noc późną, zimną goni?
Ojciec dziecię ręką ima,
I w ramionach ciepło trzyma.

„Czegoż dziecię strach cię zbiera?“
„A patrz ojcze! Tam wyziera
Błąd z ogonem i w koronie“.
„To się tak majaczy błonie“.

„Pójdź tu do mnie lube dziecię!
Będziesz miało lepsze życie.
U mnie kwiaty, złote stroje
Mojej matki będą twoje“.

„Słyszysz ojcze, co mi cicho
Obiecuje dawać licho?“
„Zdaje ci się moje dziecię.
To wiatr suchem liściem miecie“.

„Cóż więc chłopcze? Na wygonie
Patrz! tam tańczą moje dziewki,

I śpiewają cudne śpiewki.
Sypiać będziesz na ich łonie“.

„Widzisz ojcze tam na łanie
Tańcujące czarne panie“?
„Widzę synu te majaki.
To się tak szarzeją krzaki“.

„Pięknyś chłopcze! Nie pomoże
Musisz ze mną pójść nieboże“.
„Ojcze! Ojcze! Patrz! Błąd leci,
Chce mnie wziąć do swoich dzieci“!

Biedny ojciec dozna trwogi,
Szybciej mija nocne drogi,
Już do zagrody dociera,
A w ręku dziecię umiera.

Tęsknota.

(Goete.)

Ty! co mieszkasz na pułapie,
Co wsze utrapienie skracasz,
Temu prędzej pokój wracasz,
Kogo większa nędza trapi!
Przykre mi są życia dnie.
Pocóż więcej uciech, znoju?
O słodki duszy spokoju
Wstąp ach! wstąp już w piersi me!

Żurawie Ibika.

(Szyller).

Do walki wozów i pieśni,
Która na korynckiej cieśni
Plemiona greckie jednoczy,
Bogom miły Ibik kroczy.
Jego złotoustą darzy
Sztuką Febus, Bóg pieśniarzy.
Toż go teraz wiedzie droga
Z Regijum w natchnieniu z Boga.

Już Akrokoryntu mury
Na wędrowca patrzą z góry,
W Pozejdona gaj już święty
Wszedł pobożną trwogą zdjęty.
Tylko żurawi wśród ciszy
Tłum kraczący towarzyszy.
Od północy ciągną one
W południową ciepłą stronę.

„Witam was przyjaźne ptaki,
Towarzysze mej podróży!
Widok wasz niech dobre wróży!
Los spotyka nas jednaki:
Ciągniemy razem z daleka,
Potrzebna obcych opieka.
Niechże Bóg gościnny sprzyja,
Cudzoziemców złe omija!“

I spiesznymi dążąc kroki
W las się zapuszcza głęboki.
Na wąskiej drodze Ibika
Nagle dwóch zbójców spotyka.

Straszna walka się zaczyna.
Ręka, co struny napina,
Łuku napiąć nie umiała,
I rychło w boju omdlała.

Nadaremnie wzywa Bogów,
Nadaremnie ludzi wzywa,
Nikt z pomocą nie przybywa,
I nie obroni od wrogów!
„Więc z ręki nieprzyjaciela
Muszę ginąć w obcej stronie,
I nie płakany po zgonie,
Nawet nie znajdę mściciela“!

Uderzany na ziem pada...
Wtem żurawi lecą stada.
Już nie może patrzeć na nie,
Lecz jeszcze słyszy krakanie.
„Ptaki! co górą lecicie!
Gdy mnie w lesie nikt nie słucha,
Świadczcie, jak skończyłem życie!“
Rzekł to i wyzionął ducha.

Znaleziono nagie ciało.
Chociaż szpecą rany mnogie,
Przyjaźne oko poznało
Rysy, które były drogie.
„Ha! myślałem, że twe skronie
Przyozdobią moje dłonie
Wieńcem liścia zielonego“,
A znalazłem nieżywego!

Na igrzyskach Pozejdona
Cała Grecya poruszona,
Ile tylko ludzi było,

Każde serce go straciło.
Lud się ciśnie do sędziego
Oburzony ze żądaniem,
Aby męża zabitego
Śmierć pomszczono krwi przelaniem.

Ale cóż! w rozlicznym gminie
Wszelki ślad z łatwością ginie...
Któż poszuka? oko czyje
W tłumie zbrodniarza odkryje?
Czy jest od zbójców zabity?
Czy zabił go wróg ukryty?
Jedno tylko oko boże
Skrytych rzeczy dojrzeć może.

Może on w tej chwili kroczy
Pośród Greków szydząc w oczy,
I gdy zemsta nie dosiągnie,
On ze zbrodni korzyść ciągnie!
Może na świątyni progu
Samemu urąga Bogu,
A może z ludem się miesza,
Co do teatru pospiesza...

Tam bez liczby zajął ławy
Widowiska lud ciekawy.
Z bliska spłynął i z daleka,
Niepokoi się i czeka.
Coraz większy tłum się zbiera.
Rzekłbyś, dom się rozprzestrzenia,
Na co raz wyższe siedzenia
Lud się aż pod niebo wdziera.

Któżby nazwał po imieniu
Wszystkie ludy na siedzeniu?

Z Aten, z Aulis pobereża
Z Fokis, z Lakonii wybrzeża?
Ten lud z Azyatyckiej strony,
A ten z wysp jest zgromadzony.
Wszyscy baczą z rusztowania
Na groźne chóru spiewania,

Który jako nakazuje
Zwyczaj stary niewesoło
Na widownię występuje,
I z powagą kroczy w koło.
Tak nie kroczą ziemskie córy,
Bo śmiertelnej są natury, —
Tych olbrzymia postać ciała
Ludzką miarę przewyższała.

W czarnej widzisz je odzieży,
A pochodnię ręka dzierzy.
Mimo czerwonych płomieni
Ich się lice nie rumieni.
Gdzie u dziewic włos się wije
I miłe bujają sploty,
Tu widzisz obrzydłe żmyje,
Jak nadymają żywoty.

Tańcząc na hymnu sposoby
Poczynają śpiew żałoby,
A głos ich serce rozdziera,
Trwoga, strach grzeszników zbiera.
Śpiewanie bożyszcz mściwości
Zamęt w głowie, sercu rodzi,
Wnika aż do szpiku kości,
Z tonem liry się nie godzi.

„Błogo temu, kto bez winy
Zachował serce dzieciny!

Tego nie spotkamy mściwie!
Ten spędzi żywot szczęśliwie!
Ale biada temu biada,
Komu winą śmierć i zdrada!
Za tym sroga zemsta kroczy,
My, straszliwe plemię nocy“.

„Gdy się ukryć zechce w dali,
W lot rzucamy nasze pęta,
I na ziemię się powali,
Bo noga niemi ujęta...
I gonimy bez wytchnienia!
Nie ma dlań już przebaczenia,
Ni ucieczki w żadnej stronie
Do zgonu, nawet po zgonie“!

Tak koło orszak obiega,
I teatr cisza zalega...
A tak strasznie, cicho było!
Rzekłbyś, bóstwo się zbliżyło!
Jako każe zwyczaj stary,
Kroczy potem wedle miary
Wcale powolnego kroku,
Nareszcie znika z widoku.

Między prawdą a złudzeniem
Jeszcze duch słuchaczów błądzi...
Lud hołduje z serca drzeniem
Owej mocy, która sądzi,
I ukryta losem władnie.
Nikt tajemnej nie odgadnie!
Bo sercu znana każdego,
Lecz unika dnia jasnego.

Wtem wśród ciszy niespodzianie
Usłyszą wszyscy wołanie:

Popatrzno, zobacz Tymocie
Ibikowe ptaki w locie!
I nagle na teatr pada
Ciemność, bo żurawi stada
Nad teatrem lecą górą
Tłumnie, kracząc, czarną chmurą.

Ibikowe? Imię drogie
Bolem wzrusza serca mnogie.
Jako fala falę goni,
Słyszysz słowa w każdej stronie:
Ibika, którego płaczą,
W lesie zamordowanego?
Co słyszane słowa znaczą?
Co mają ptaki do niego?

I w piersiach zebranych ludzi
Błyskawicą myśl się budzi:
To Eumenidów potęga!
Mordercę zemsta dosięga!
Czyje usta wymówiły
Owe słowa, schwytać tego,
A razem także drugiego,
Do kogo zwrócone były.

Ale ten, kto je wygłosił,
Radby dalej w sercu nosił!
Nadaremnie! Bladość twarzy
Zdradziła rychło zbrodniarzy.
Przed sądem obu stawiają...
Złoczyńcy prawdę wyznają,
Poczem morderców Ibika
Pomsta za winę spotyka.

Cudzoziemka.

(Szyller).

U pasterza na dolinie
Żaden nowy rok nie minie,
By się dziewczę nie jawiło,
A nikt nie wie zkądby było.

Nie tutaj ono się rodzi,
Nie na tej wzrasta dolinie,
A kiedy znowu odchodzi,
Rychło po niem ślad zaginie.

Uszczęśliwia wszystkich ludzi,
W każdem sercu radość budzi,
Przecież dla wzniosłej godności
Nie cierpi poufałości.

Niesie nam cudowne kwiecie,
Gdzieś rozkwitłe w innym świecie.
Inne tam oblicze świata.
I przyrody inna szata.

I każdego czemś obdarzy.
Bez wyjątku młodzi, starzy
W upominku coś dostają,
I weseli powracają.

Wszyscy chętnie są widziani,
Lecz gdy przyszli zakochani,
Najpiękniejszy kwiatek w darze
Dostał się miłośnej parze.

Nadzieja.

(Szyller).

Ludzie mówią, marzą w snach
O przyszłości lepszych dniach,
I śpieszą i gonią z ochotą
Za przyszłością szczęsną, złotą.
Świat starzeje, tem się krzepi,
Że już kiedyś będzie lepiej.

Nadziei odblask zarania
Chłopakowi świat odsłania.
Ona młodzieńca zapala,
I starcowi świeci zdala,
Bo w ostatniej życia dobie
Ma nadzieję jeszcze w grobie.

Nie zwodnicze to marzenia,
Nie płód to rozumu głupiego!
Wszak nam mówi głos sumienia:
„Stworzeniśmy do lepszego“,
A co ten nam głos powiada,
O to z pewnością nie zdrada!

Zdanie Konfucyusza.

(Szyller.)

Czas troiście pochód zmienia:
Zwolna przyszłość się przybliża,
Teraźniejszość — strzała chyża,
A przeszłość miejsca nie zmienia.

Niecierpliwość nic nie znaczy:
Czas nie pośpieszy, gdy czeka.
Jak na wątpliwość nie baczy,
Tak na bojaźń, gdy ucieka.
Zaklęcia, żal skruszonego
Nie poruszą stojącego.

Ten prawdziwie mądry będzie,
I szczęśliwie spędzi lata,
Kto przyszłości za narzędzie
Nie użyje, lecz do rady, —
Kto z przeszłością się nie zbrata,
Z obecnością nie ma zwady.

Dziki myśliwy.

(Podług Bürgera.)

W. hrabi Reńskim dzika dusza.
Ostrogami konia spina,
Zadął w róg. Koń naprzód rusza.
Konno i pieszo drużyna
Błoniem, cierniem, żyznym łanem
W trop pośpiesza za swym panem.

Był to dzionek uroczysty.
Na kościółku krzyż złocisty
Świeci się, a dzwonek woła
Na mszę ranną do kościoła.
Już pobożnych śpiewy płyną
Świeżą, zroszoną doliną.

Przez bezdroża zapalony
Pędzi hrabia z swemi sługi,
A w tem z prawej, z lewej strony
Wjedzie jeździec jeden, drugi.
Białej maści koń prawego,
A czerwony niósł lewego.

Coby to za jeźdźcy byli,
Jak i z kąd się pojawili?
A pierwszego czoło jasne,
Z ócz mu patrzy jakoś błogo,
A drugiego oczy straszne
Patrzą chmurnie i złowrogo.

„Witaj w jak najlepszym czasie,
Witaj zacny, dzielny panie!
Nie ma tu i Parnasie
Nic nad wzniosłe polowanie.
Cóż nad to przyjemniejszego?“
Krzyknie lewy do hrabiego.

„Brzmi nie dobrze odgłos rogu
Z chórem pieśni Panu Bogu,
Dzisiaj święto“ — prawy rzecze —
„Odwróć się wcześnie człowiecze!
Nie ułowisz nic dobrego.
Nie daj się kusić do złego!“

„Dalej! dalej! zacny panie!
Co tam chóry i spiewanie
I uroczystości, święta!
Poluj! kiedy masz ochotę.
Nie daj zwieść się przez hołotę!
Tak żyją wielcy książęta“.

„Dobrześ to powiedział Wasze.
Widzę, że mówię z rycerzem.

Komu nie gonić za zwierzem",
Hrabia rzecze — „ojczenasze
Ten niech klepie. Za mą butę
Chętnie uczynię pokutę".

I dalej naprzód hurra! hurra!
Czy to pole dół czy góra
Hrabia pędzi. Jeźdźcy z boku
Mają go na bacznem oku.
Wtem z gałęzistemi rogi
Biały jeleń skoczy z drogi.

Hrabia trąbi. Szybciej spieszą
Konni ludzie, ludzie pieszo.
W szalonej, dzikiej pogoni
Nagle kilku spadnie z koni.
„Bierz was licho przeklęci!
Dla was nie utracę chęci".

Zwierz w nadziei, że się może
Skryje w polu, skoczył w zboże.
Patrz wtem stanął pełen trwogi
Przed hrabią chłopek ubogi.
„Poszanuj panie" — zawoła —
„Com uprawił w pocie czoła!"

I prawy jeździec przybiega,
Mile hrabiego ostrzega,
A lewy jeździec namawia
Do złośliwego bezprawia.
Wzgardziwszy radą prawego,
Hrabia usłuchał lewego.

„Ustąp psie! obmierzły chamie!
Albo cię poszczuję psami,
Klnę się na moc złego ducha!
Dalej chłopcy!" — hrabia wrzaśnie —

„Niech no który z bicza trzaśnie
Temu chłopu koło ucha!“

Wykonano rozkaz dany.
W dojrzałego zboża łany
Wjechał hrabia, za nim w krzyki
Psy i cały motłoch dziki,
A od pieszych i kopyta
Kurzą się wzburzone żyta.

Wystraszone szuka zwierzę
Bezpieczeństwa, skrycia w dali,
I przybiega, gdzie pasterze
Swego bydła pilnowali,
Bez namysłu i przeszkody
Skacze między swojskie trzody.

Lecz przez pola i zagony
Gonią pańskie psy uczone.
Rychło wytropiono zwierzę,
Czem przestraszeni pasterze,
Tuż samego widząc pana,
Proszą padłszy na kolana:

„Litości! panie! litości!
Nie mąć naszej spokojności!
Pomnij! między temi krowy
Jest niejedna biednej wdowy,
Cały jej majątek panie!
Miej nad biedną zmiłowanie!“

I prawy jeździec przybiega,
Mile hrabiego ostrzega,
A lewy jeździec namawia
Do złośliwego bezprawia.
Wzgardziwszy radą prawego,
Hrabia usłuchał lewego.

„A! ty istoto obrzydła!
Myślisz, że dla twego bydła
Daremnemi będą łowy?
Rychło ty z twojemi krowy
Do nieba pójdziesz nieboże,
I stu diabłów nie pomoże!“

„Dalej myśliwi a śmiało!
Dla psów tu ścierwa nie mało!“
I wściekła psiarnia napada,
Co najbliższe z bydląt stada.
Pierwszy pasterz między niemi
Potoczył się ranny do ziemi.

Podczas zgiełku i hałasu
Zwierz się wymknął ocalony,
Krwią i pianą zabroczony
Biegnie do bliskiego lasu,
I tam w chacie pustelnika
Kryje się zwierzyna dzika.

Ale z wrzaskiem, trzaskiem, krzyki
Za zwierzyną motłoch dziki
Zdąża, i przed pustelniczą
Chatą staje, a przed dziczą
Stanął zwiędły starowina,
Tak hrabiego upomina:

„Ustąp! i nie kalaj tego
Miejsca pokoju świętego!
O pomstę woła do góry
Głos pogwałconej natury!
To ostatnia dla cię próba.
Słuchaj! bo cię czeka zguba“.

I prawy jeździec przybiega,
Mile hrabiega ostrzega,

A lewy jeździec namawia
Do złośliwego bezprawia.
Wzgardziwszy radą prawego,
Hrabia usłuchał lewego.

„Co tam kara i gniew Boży!
To mnie bynajmniej nie trwoży.
Choćby było w siódmem niebie
I myszy nie poszanuję.
Niech Boga gniewa i ciebie,
Ja chętnie odpokutuję!“

„Trąbi hrabia, z bicza wali
A dalej! chłopcy! a dalej!“
Ha! wtem chata pustelnika
Z ludzmi, końmi, starcem znika,
Hałas i gwarliwe słowa
Połyka cisza grobowa...

Na hrabiego padnie trwoga
Z przestrachem wkoło spoziera...
Chce zadąć, głos zaumiera...
Nie słyszy świstu batoga...
Ostrogami konia zmusza,
A koń się z miejsca nie rusza.

Ciemność go ogarnia. Słucha...
A nad głową zawierucha
Wre podobnie, jakby z dali
Ryk dochodził morskiej fali,
I usłyszy odgłos z góry,
Odgłos głuchy i ponury:

„Tyranie! diabła natury,
Co depcesz Boga, stworzenie!
Pokrzywdzonej kreatury
Skargi głośno o pomszczenie

Pozwały cię przed Sędziego!
Usłysz teraz wyrok jego!“

„Uchodź dniem i nocną dobą!
Na wieki nie miej spoczynku!
Piekło niech goni za tobą!
Mieć to będą w upominku
Pany, których niecna noga
Stworzenie depce i Boga!“

Od siarczanej błyskawicy
Zżółkły lasy w okolicy.
Straszna go trwoga obima...
Głucho i parna zaducha,
A za hrabiego plecyma
Straszna wyje zawierucha...

Wszędzie pożar. W każdej stronie
Siny, żółty ogień płonie.
Wre i kipi w tej topieli
Płomienistej, i z gardzieli
Straszliwego tego piekła
Wyskakuje psiarnia wściekła.

Hrabia rusza, goni, pędzi,
Ale za nim piekło wszędzie
Zdąża w ślad po całym świecie,
Kiedy ludziom słońce świeci,
Przez podziemiów noc ponurą,
W nocy po powietrzu górą...

To pogoń wojska dzikiego,
Co już śmiałka niejednego
Przestraszyła w ciemnej nocy,
Kiedy mu zajrzała w oczy...
Niejedenby świadczył o tem
Łowiec, gdyby miał ochotę.

W podróży.

(Rückert.)

Do mnie cały świat należy,
Wszystko, co się w koło szerzy,
Bo to wszystko widzę okiem,
Bo przestrzenie mierzę krokiem.

Obcy ktoś te pola orze,
Komuś też wyrasta zboże.
Nie ja wprawdzie z pola zbieram,
Ale jak moje obzieram.

Ktoś udeptał ścieżkę polną,
Świeże kwiaty zdobią drogę.
Gdy mnie po niej stąpać wolno,
Także moją nazwać mogę.

Zielone trawy na łące,
I kwiatów na niej tysiące.
Odpoczywam, kwiaty zrywam,
I łąkę moją nazywam.

O tu drzewo! W chłódku drzewa
Usiąść, spocząć się zachciewa.
Nie dla mnie ono zarodzi,
Ale dzisiaj mnie ochłodzi.

I tak myślę sobie tedy:
Chociaż nie wiem, kto i kiedy
Je zasadził, gdy używam,
Także je mojem nazywam.

Tutaj potok. W nurtach jego
Kąpię się, gdy słońce parzy.

Idąc, słucham, co takiego
Ten swywolnik ciągle gwarzy.

Gdy mnie znudzi, tylko skinę
Zaraz się z małym rozminę.
Ja na lewo zwracam kroki,
W prawo biegnie modrooki.

Za plecyma wiatry grają.
Także są dla mnie z usługą,
Bo mi w chodzie pomagają
Wiedząc, że mam podróż długą.

Wiatry, co me głaszczą lice,
Także mi nie przeszkadzają.
To dalekie okolice
Tchem do siebie zapraszają...

Na odmianę, to ulewa,
To znowu słońce przygrzewa.
Prochy deszcz z pod mojej nogi
Płucze i usuwa z drogi,
A gdy błoto, to spiekota
Drogę wnet oczyści z błota.
Deszcz i słońce nadto robią,
Że się łąki kwieciem zdobią.
W obojgu także przyczyna,
Że nademną się rozpina
Tęcza z barw złożona wielu,
Gdy się już zbliżam celu.

Łuk szeroko rozpostarty,
Na pagórkach silnie wsparty,
Stoi mocno, niewzruszenie.
Nie runie jego sklepienie.

Idę dalej. Już w pobliżu
Wioski jestem. Odgłos śpiżu
Wita mnie, bo cóż innego?
Może ślub duchowny daje,
Może grzebie umarłego,
Ale mnie się tak wydaje,
Tak rozumiem to dzwonienie,
Że to dla mnie pozdrowienie...

Z choralnemi w uściech śpiewy
Wzdłuż rozłożystemi drzewy
Zasadzonej drogi kroczę.
Nie żal tego, co przeoczę,
Co zostało za plecyma...
Co krok dalej, coś nowego.
Nie obejrzeć świata tego,
Bo na świecie końca nie ma.

W lesie.

(Claudius.)

Gdyby tu brakło gęstwiny,
Zielonej, wonnej sośniny,
Próżnia zamiast lasu tego
Nie miałaby nic pięknego.

Nie byłoby z gałęziami
Drzew przed nami i za nami.
Toby miejsce było błoniem,
Dobrzeby musztrować po niem.

A tak jestem w tem przestworzu
Jak w głębokiem ryba morzu.
Niechaj żyje las sosnowy,
I ta gałęź wyżej głowy.

Tyle tutaj drzew dokoła,
Że nikt zliczyć nie podoła,
A tak każde się zieleni,
A pod każdem tyle cieni!

A tak każde dumnie patrzy,
Tak rozpiera bo mu ciasno,
I to sobie tak tłumaczy,
Że ta przestrzeń jego własną.

Hej! niejeden Pan bogaty,
Nie szczędzi kosztów, zapłaty
Za to, że sprytny mierniczy
Podług cyrkla las wytyczy.

Równo, gładko i do pary
Stoją drzewa w sztucznej mierze.
Pan zasadzi okulary,
I to za prawdziwy bierze.

Jeszcze idzie z nożycami
Pan ogrodnik, i co rano
Sprawia między gałęziami
Porządek, jak nakazano.

Tylko nożyc nosi taki
Las na sobie cięte znaki,
Ogolone łaty, dziury,
Nie ma w nim życia natury.

Pan na krześle się rozpiera,
Lokaje służą mu,

A książę z tronu spoziera,
A my siedzimy tu.

Tu w cieniu lasu murawa,
Tu mile spocząć co lata,
Cieszy nas zieleń i trawa.
Dzięki stwórco tego świata!

W nocy.

(Claudius.)

Jak są cudnie piękne noce!
Tysiąc razem gwiazd migoce
Na wyniosłem nieboskłoniu.
W lesie, jak w świątyni Pana,
Cisza święta, a na błoniu
Mgła tajemnic rozesłana.

Co za cisza, spokój święty...
Świat, kotarą osłonięty,
Ciepłej, cichej, letniej nocy,
Jakże piękny i uroczy!
Nibyto cicha komnata,
Gdzie na kwiecistej pościeli
Łzy i troski tego świata
Śpiący prześnićbyśmy mieli.

Księżyc, patrz! wysunął głowę,
Widny tylko przez połowę,
A on cały, piękny przecie,
Chociaż pół go tylko świeci.
Tak wiele tajni człowiecze

Rozum nigdy nie docie[c]ze,
A wyśmiewa i z nich szydzi,
Bo ich całości nie widzi.

O! my dumne ludzkie dzieci,
Co żyjemy na tym świecie!
Wcale my nie wiemy wiele.
Nasze przemądre nauki,
Wszystko to kuglarskie sztuki,
A daleko prawdy cele.

Boże! spraw byśmy poznali,
Doczesnością pogardzali,
I zamiarami próżnymi,
Byśmy byli naiwnymi,
I przed tobą na tym świecie
Weselili się jak dzieci.

Gwiazdy.

(Claudius).

Po codziennym trudzie w nocy,
Kiedy cisza dom zalega,
Ludzie spią zawarłszy oczy,
Wzrok mój ku niebu wybiega.

Widzę gwiazdy w strasznej dali,
Niby na błoni owieczki,
Tu zebrane do kupeczki,
Tam zdzibnięte w sznur korali.

A tak pięknie, tak szeroko
Każda świeci w wysokości!

Nie dość się napatrzy oko,
Nie nadziwi wspaniałości.

A na widok nieba tego
W piersi serce zakołota:
„Istotnie jest coś lepszego
Nad boleści tego świata!“

W nieznanej szczęścia krainie
Niespokojna dusza ginie,
I z tęsknoty i nadziei
Długo oczu sen nie klei.

Staruszek i śmierć.

(Gleim).

Wiązkę suszu starzec niesie
Uzbieraną w bliskim lesie.
Wiele pracy kosztowało
Zanim chrustu wiązkę całą
Nagromadził. Trud nie lada.
Umęczony biedak siada,
Westchnął, a gdy myślał o tem,
Jak mu gorzko z krwawym potem
Żyć przychodzi, począł prosić:
Nie daj śmierci dłużej znosić
To, co znoszę. Przyjdź raz sobie,
Radbym już odpoczął w grobie.

Śmierć przychodzi na wołanie.
„Starcze! jakie masz żądanie?“

„Mam nieść ciężar, a więc wołam.
Sam podźwignąć nie podołam.
Zadaj mi go, bardzo proszę,
Niech czemprędzej dalej niosę.

Orzeł i Skowronek.

(Podług Gleima).

Orzeł na drodze do słonka
Spotkał polnego skowronka.
Tak go zajął śpiew małego,
Że rad słuchał głosu jego.
Cicho w górze, wiatr nie dysze,
Bo król wiatrów chce mieć ciszę.

„Wsiądź!“ rzekł orzeł do skowronka,
„Na me skrzydła, wichrów pędem
Polecimy wraz do słonka.“
„Ja tu Panu spiewać będę,“ —
Rzecze ptaszę, — „po padole,
A ty najśmielszy sokole
Leć do góry, gdzie twa droga,
Także też na chwałę Boga.“

Świat i odludki.

(Sachs.)

Kiedyś dawno starowina
Mieszkał w lesie. Miał on syna.
Żyjąc w lesie długie lata,
Syn dorosły nie znał świata.
Toż mu się wiedzieć zachciewa,
Czy tak wyrósł jako drzewa
Rosną w lesie. Zapytania
Stary tem ni owem zbywa,
A wreszcie prawdę odsłania,
Że długo w lesie przebywa,
Że z nim od ludzi trapiony
W te odległe świata strony
Uciekł, nie mogąc ludzkości
Znieść, bo zła do szpiku kości.
Gorszy kłopot. Syn ciekawy
Ciągle teraz ojca nudzi:
„Bądź mój ojcze bez obawy!
Pójdźmy raz zobaczyć ludzi!“
Aby zadowolić syna,
Poszedł wreszcie starowina.
Podróżują. W tej podróży
Mają osła. Mimo tego,
Gdy obydwom zdrowie służy,
Idą pieszo obok niego.
Pierwszy, kogo przydybali,
Był to dragon. „Tam do trzysta“ —
Krzyknie żołnierz — „zwaryowali!
Żaden z osła niekorzysta!
Czemuż jeden z was nie wsiada?“

„Przywitano nas nie lada.“
Ojciec rzecze. Po tej biedzie
Syn na osła siadł i jedzie.
Niedaleko ujechali
Babę, staruszkę, zdybali,
Która pocznie hańbić syna:
„O ty niedobra istoto!
Jedziesz, a zaś starowina
Obok ciebie lezie w błoto!“
„Nie dość synu jeszcze tego?“
Ojciec rzecze, a do niego
Syn przemówi: „Jedź ty sobie,
A ja będę biedz przy tobie.“
Tak się stało. Chłopa w drodze
Przydybują. „Ty niecnoto!“
Krzyknie wieśniak. — „Tej niebodze
Każesz obok biedz piechotą?
Czy nie lepsze twoje nogi?
O ty stary głupcze srogi!“
„Co teraz synu poczniemy?“
Ojciec pyta. Syn powiada:
„Chyba razem pojedziemy.“
Stało się. Zdybują dziada.
Ten nad wszelkie spodziewanie:
Takie im wytnie kazanie:
„O wy ludzie bez litości!
Zaledwie skóra i kości
Na tem zwierzęciu, a przecie
We dwójkę na niem jedziecie!
Czy się Boga nie boicie,
Że biedne zwierzę dręczycie?“
„Cóż teraz robić będziemy?“
Ojciec pyta, syn zaś na to:

„Ha! więc osła poniesiemy.
Pewnie nas pochwalą za to.“
Rychło zamiar wykonany,
Osieł na nogach związany,
Kół się znalazł w bliskim płocie,
W kilka minut po robocie.
Niosą. Konny ich zdybuje
I temi słowy przywita:
„Czy wam klepki nie brakuje,
Że zdrowe źwierzę niesiecie?“
„A co synu?“ ojciec pyta:
„Czy prawdę rzekłem o świecie?“
Syn z rozpaczą odpowiada:
„Jedna pozostaje rada:
Osła życia pozbawimy,
Może ludziom dogodzimy.“
Potem obydwaj bieżeli,
Szast oślika po gardzieli.
Na to myśliwy nadchodzi.
„Co robicie? Czy się godzi?
Zabić źwierzę pożyteczne?
To prawdziwie niedorzeczne!“
Na to syn się pocznie zżymać:
„Z tymi ludźmi nie wytrzymać!
Rób cokolwiek, temu światu
Nie dogodzisz. Daj go katu!
Szkoda czasu i atłasu,
Wracajmy ojcze do lasu!“

Umarły do żywego.

(Gryphius).

Kopiec niski, nieszeroki,
W cztery ciasne zbity boki
Grób jak skrzynia, to pokoje,
I to całe państwo moje,
A pokrywa z ziemi lekka
Przygniotła troski człowieka.

Żyłem, jak ty żyjesz oto,
Miałem rozum, dostojeństwo,
Iście twoje podobieństwo,
Co dziś ze mnie? Piasek, błoto!
Kamień grobu nie przygniata
Wstanę lżej na koniec świata.

Tu na wszystko koniec czeka.
Władza, zabiegi czlowieka,
I co błyszczy, i co świeci,
Tu się wszystko w proch rozleci.
Książka, pług i miecze razem
Spoczną tu pod jednym głazem.

Wy! coście oddani sztuce,
Wy! poświęceni nauce,
Wy! od których mało
Co nie odkrytem zostało...
I ja nie jedno wiedziałem,
A przecież umrzeć musiałem.

Usta, które to głosiły,
Ręce, które to nosiły,
Oczy, które to widziały,

Uszy, które to słyszały,
Są chromemi i ślepemi,
Niczem tylko garstką ziemi.

Przeto ty! co na mój własny
Grób się patrzysz, panie jasny!
Bogaczu! mędrcze! uczony!
Kiedyś będziesz pogrzebiony.
Między nami przestrzeń kroku...
Przyszły grób przy twoim boku.

Z twoich wielkich posiadłości
Tylko wąski grób posiędziesz,
Z twej odzieży sukna będziesz
Tyle miał, by nakryć kości,
Służba w sutej garderobie
Rychło zapomni o tobie.

Pielgrzymie! jednego potrzeba,
Abyś umarł z łaską nieba.
Z łaską śmierć ci przyjdzie lekka,
Bez niej potępienie czeka.
Umrzesz z łaską, z łaską potem
Wstaniesz. Idź i pomyśl o tem.

Zdrowie.

(Vosz).

Zdrowe ciało, zdrowa dusza
Źródłem życia. To ochota,
Co nas do czynów porusza,
Sprawia, że każda robota
Z męską przedsięwzięta cnotą
Nie jest daremną robotą.

Kto jak to niewinne dziecię
Czysty idzie pańską drogą,
Ten po Bożym stąpa świecie
Zawsze śmiałą pewną nogą.
W każdym jego znajdziesz czynie
Wartość, która nie przeminie.

Zdrowy człowiek mówi, działa,
Gdzie potrzeba, i nie tchórzy,
Lecz stoi silnie jak skała
Pośród nawalnic i burzy.
Głodny zje, co mu się zdarzy.
Słodko śpi i bosko marzy.

Ile razy zorza świta,
Nowy dzionek nas powita,
On uczuwa, że stworzyciel,
Nie jest żaden potępiciel
Ale ojciec i z wdzięczności
Rad zanuci śpiew miłości.
Wielkie dla niego wesele,
Gdy szczęśliwych widzi wiele.

Zdrowy, spokojny w sumieniu,
Przy zapracowanem mieniu,
W młodości zawsze kochany,
A na starość poważany,
Jest jak owoc, co dojrzewa,
Aż nareszcie spadnie z drzewa.

Ale prędko znika, niknie,
Kto do miękkości przywyknie.
Jak drzewo, które siekiera
Rani, tak i on umiera.
Takiego zorza nie zbudzi,
Wszystko i wiosna go nudzi.

Nieszczęsny, nędzny kaleka
Nawet od ludzi ucieka.

Zdrowie! bogactwo jedyne!
Obyśmy cię ocenili
Prędzej, nim przez własną winę
Ciebie pozbytymi byli.
Czasem skok młodzieńczy może
Zepsuć nam cię, czasem zbytek,
Czasem wietrzyk i napitek.
O! szanujmy dary Boże.

Niedziela.

(Schaefer)

Oto Pański dzień niedzielny.
Wkoło mnie samotne błonie,
Zdala słyszę dzwon kościelny,
Do modlitwy składam dłonie.

A gdy tak klęczę na błoniu,
Tajemniczy lęk mnie bierze,
Zdaje się, że w tem ustroniu
Wiele zmawia dusz pacierze.

A szerokie niebo całe
Tak uroczyste, wspaniałe,
Rzekłbyś, kościół otworzony.
Dzień to Panu poświęcony.

Zachęcenie.

(Köpken)

Celem Boskiego stworzenia
Jest użycie szczęsnej chwili.
Więc, jeżeli są cierpienia,
Tośmy sami zawinili.

Tyle starań dokładamy,
Nędzę zawsze uczuwamy,
A przecież ptactwu niezmiennie
Pan Bóg daje chleb codziennie.

Bóg nam zseła deszcz, pogodę,
Bóg obfite daje zbiory.
On, gdy poniesiemy szkodę,
Do pomocy zawsze skory.

Pan Bóg pole w zieleń, kwiaty
Z każdą wiosną pięknie zdobi,
Czego żaden król bogaty
Za wszystkie skarby nie zrobi.

Po cóż troska, wzrok ponury,
Czegoż płakać i narzekać?
Jutro zejdzie ranek wtóry,
Nam go może nie doczekać.

Wesołymi bądźmy zatem.
Precz z zgryzotą i turbatem!
Żyjmy nie dla jutro tylko!
Cieszmy się obecną chwilką.

Moc piosenki.

(Chamisso).

Nieraz, wyszedłszy na błonie,
Siadło się w przyjaciół gronie
I piosenkę się nuciło,
A z nią wszystko dobrze było.

Ileż razy w samotności
Nie doznawałem przykrości!
Gdy się piosnkę zanuciło,
Wszystko znowu dobrze było.

Nieraz życiem doświadczony
Byłem zły, niezadowolony,
Gdy się piosnkę zanuciło,
Nagle wszystko dobrze było.

Zatem, kiedy co dopiecze,
Nie trap się zaraz człowiecze,
Tylko żwawo na tę mękę
Zanuć jakąbądź piosenkę.

Kościółek.

(Z Breidensteina — z muzyką Kreutzera).

Co ówdzie na wzgórku bieleje się,
Gdy gwiazdki zaświecą na niebios tle?
To cichy kościółek wita nas,
Pielgrzymom oznajmia modlitwy czas.

Co w onym kościółku, gdy ziemia śpi,
Uroczo, poważnie a mile brzmi?
To braci zakonnej święty chór
Ulata modlitwą powyżej chmur.

Co to za cudowny a dźwięczny twór
Rozbrzmiewa się czystą harmoniją z gór?
O rannej to porze głośny dzwon
Oznajmia pielgrzyma doczesny zgon.

Cisza wieczorna.

(Z niemieckiego, z muzyką Mozarta).

Cudownie o wieczornej dobie!
Szczęśliwy, kto ją uczuł w sobie,
Bo taka rozkosz serce twe
Napełnia, że rozpływa się.

Jak miłej użycza osłody
Niebiański pokój przyrody!
Gdy nie przepełnia ducha zło,
Łagodny wieczór cieszy go.

Wolniejsza pierś powietrze chłonie,
Gwiaździste widząc nieboskłonie.
Wieczorze cichy! błogiś ty,
Radośną pieśń poświęcam ci.

Hymn do Nocy.

(Z niemieckiego, na nutę Bethovena).

Święta nocy! błogim tchem
Pokój Boży w sercu mem
Wskrześ, tułacza osusz łzy,
I na sercu ulżyj mi!

Gwiazdeczki już zdaleka
Świecą, a duch człowieka
Ku nim ucieka, ku górze tam!

Dźwięki arfy mile brzmią,
Lube wiatry ku mnie dmą
Od przybytku rajskich dusz,
Od miłości pełnych mórz...

Gwiazdka niech jeno płonie
W dali na nieboskłonie,
Gdzie duch z rozkoszą tonie, w lazurze tam!

Biały Jeleń.

(Z Uhlanda na nutę Kreutzera).

Poszło trzech myśliwych, a poszło wraz
Za białym jeleniem w głęboki las.
Pod jodłą usiedli, usnąwszy tu
Jak bosko nie marzyli w objęciach snu!

I) „Ujrzałem ci we śnie jelenia tuż,
Gdy z krzaków poskoczył w lot husz! husz!"
II) „A gdy kłusował ze szczekaniem psów,
Za broń ująwszy palę paf! puf!"
III) „A gdy go na ziemi ujrzałem ja
Padłego, zadąłem w róg tra! ra!"

Tak leżąc mówili. Wtem słyszą bieg:
Mknie jeleń o maści jako śnieg,
I zanim się myśliwi jęli rur,
Już minął przestrzenie i dolin i gór.

Fiducyt.

(A. E. Salomon.)

Hej! było trzech przyjaciół, trzech było i nie złych,
A pełny kieliszek wesoło kołował pośrodku nich.

Śpiewali, bo też każdy ochoczy był i rad,
I mało ich zawsze obchodził goryczą napojon swiat.

Wtem zmiera jeden z trójcy, i drugi z onych trzech,
Pozostał atoli z nich trzeci, minęły go żarty, śmiech,

Lecz gdy godzina przyszła, biesiady wspólnej czas,
Nalewał napoju do szklanek, i śpiewał chociaż nie wraz.

Tak siedział pewnej doby i ponalewał szkła,
Zaśpiewał ze serca żałoby, pociekła z powiek łza.

Hej! w ręce wasze bracia! Nie siedźcie cicho tak!
Gdy wypić już ze mną nie chcecie, niedobry wcale to znak.

Gdy wyrzekł to boleśnie, zapytał: „bracia cóż?" —
Kielichy zadrzały i dźwiękły, i trzeci nie żył już.

Dobranoc.

(z niemieckiego G. W. Finka, na nutę L. Bethovena.)

Dobranoc! Już po dniu.
Utrudzonym życzę snu.
Gdy słoneczko już zachodzi,
Pracowitym kłaść się godzi.
Zanim nowy Boska Moc
Wskrzesi dzień, dobranoc!

Idźcie spać! Żegnam was!
Już powieki zamknąć czas.
Cisza zaległa do koła,
Stróż „ostrożnie z ogniem!“ woła,
Ciemność nocy daje znać,
Że już czas. Idźcież spać!

Dobranoc! Śpijcie już
Do świtania nowych zórz.
Jutro nowy brzask zarania
Trosk przymnoży i starania.
Pokój wam! Boska moc
Strzeże was. Dobranoc!

Pieśń grobowa.

(z niemieckiego podług Prudentiusa na nutę ludową.)

Dlaczego przy śmierci płaczecie,
I łez powstrzymać nie możecie?
Dlaczego przed śmiercią strach zbiera,
Gdy bramy żywota otwiera?

Wszak w górze jaśnieje nad groby
Promienne światło nowej doby.
Tam życia pozbyci i znoju
Pielgrzymi mieszkają w pokoju.

Tam węzłem miłości złączeni
Nie będą więcej rozdzieleni,
Co miłość ziemska opłakuje,
Zacniejszem w niebiesiech znajduje.

Dlatego nie zwieszajmy głowy,
Bo śmierć oznacza żywot nowy,
Sen kończy troski i strapienia
U progu wiecznego zbawienia.

Przepiórka.

(z niemieckiego S. F. Sautera, na nutę Heringa).

Słuchaj! co bije wesoło gdzieś tam:
Bogu cześć! Bogu cześć!
Przepiórka mówi to nam.
Siedząc w zielonej gęstwinie zbóż,
Słowa posełała słuchaczom do usz:
Miłuj go! Miłuj go!
On pełen łaski dla dusz.

Bijąc przepiórka nie dajeż ci znać:
Chwała mu! Chwała mu!
On może niebo nam dać.
Widząc owoce i zboże jak las,
Bije — posłuchaj! — przepiórka w sam czas:
Dzięki mu! Dzięki mu!
Bo karmi, żywi Bóg nas.

W burzy okropnej gdy straszy nas Pan,
Módlmy się! Módlmy się!
A Bóg ocali nam łan.
Gdy cię spotyka nieszczęsny los,
Ptaszy natenczas oznajmia ci głos:
Ufaj mu! Ufaj mu!
Pan Bóg odwróci ten cios.

Dzwon.

(Na nutę Henr. Proch).

Do rodzinnych wracam stron:
Już zdaleka słyszę dzwon,
I na myśli staje świat
Ze wspomnieniem młodych lat,
Bo gdy jeszcze o tym świecie
Nie wiedziałem, małe dziecię,
Głos ten, który teraz brzmi,
Szerszy świat zwiastował mi.

W świat mnie rzucił smutny los:
Tam rozliczne tony brzmią,
Ale żaden dźwięczny głos
Jako ten nie wzruszał mną,
Bo najchętniej człowiek słucha
Tych, co wnikną w głębią ducha,
I wspomnienia budzą tam,
O dziecięctwie mówią nam.

Dzwońcie dzwony, dzwońcie mi!
Głosy wasze budzą żal,

A z powieki cieką łzy,
Pomne myśli lecą w dal...
Bliższe już rodzinne strony,
Bliżej, głośniej biją dzwony,
Bije serce, wiedzieć chce,
Kto też tam powita mnie!

SPIS RZECZY.